

PARADA

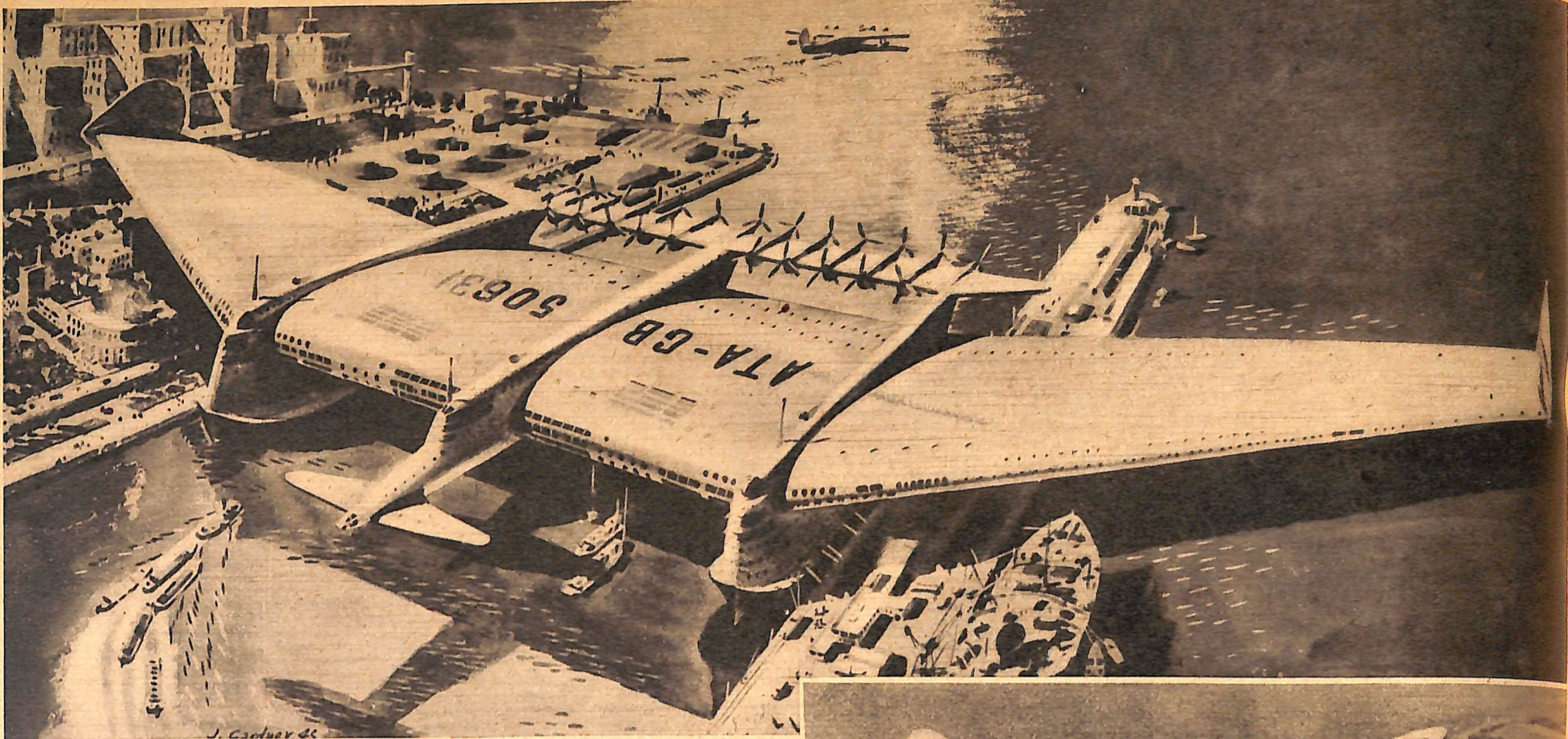


ROK II

NIEDZIELA, 1 PAŹDZIERNIKA 1944 R.
SUNDAY, OCTOBER 1, 1944

Nr 20 (39)

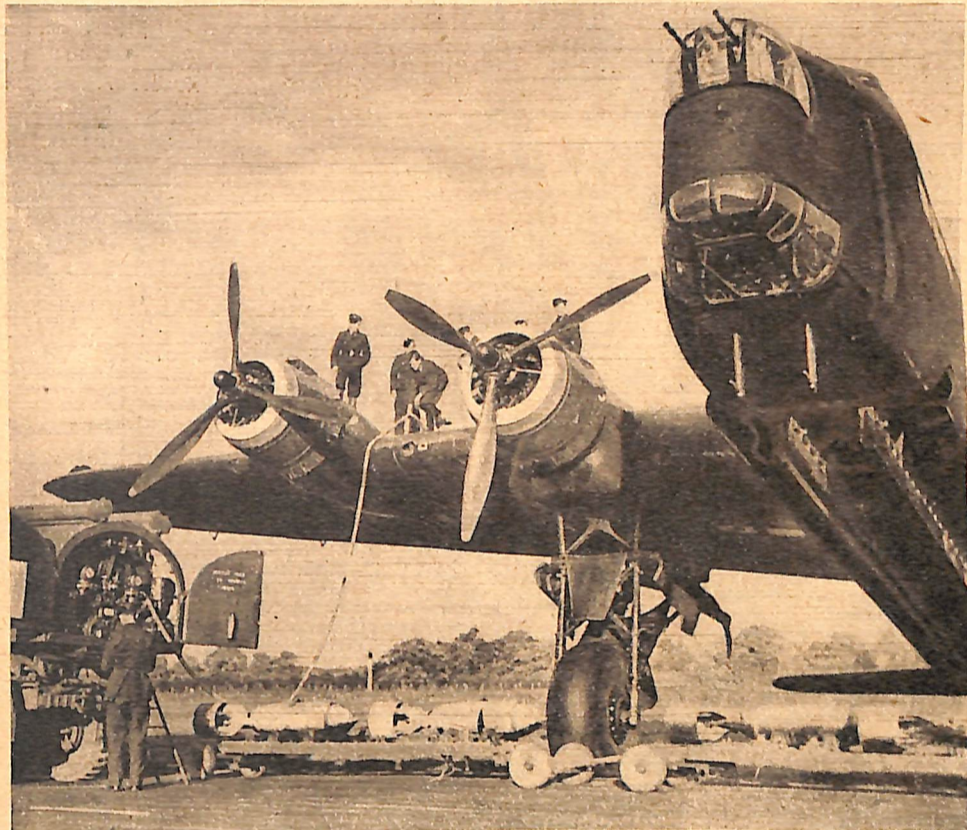
CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów



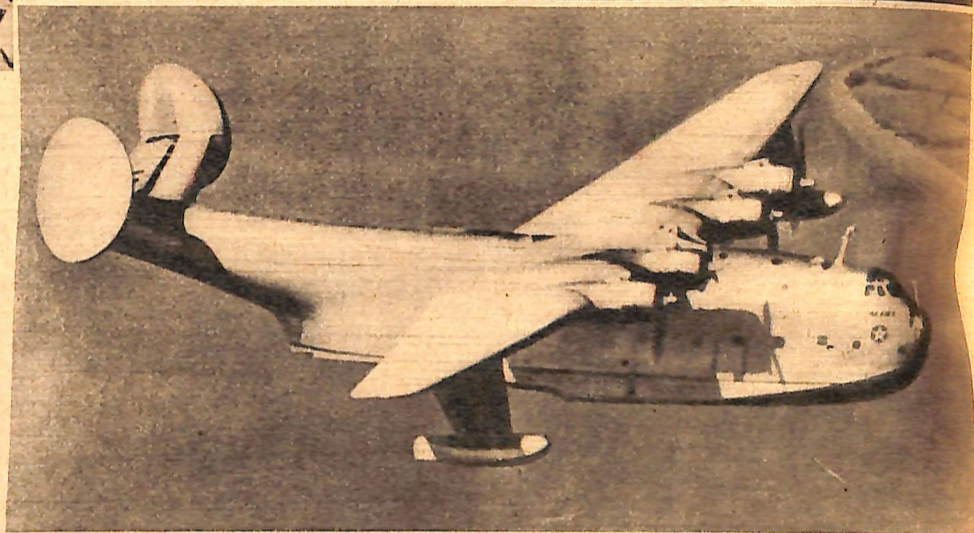
Powietrzny statek pasażerski przyszłości (projekt)

Lotnictwo przyszłości

Czteromotorowy „Stirling” RAF’u zabiera paliwo i bomby do lotu nad Hamburg

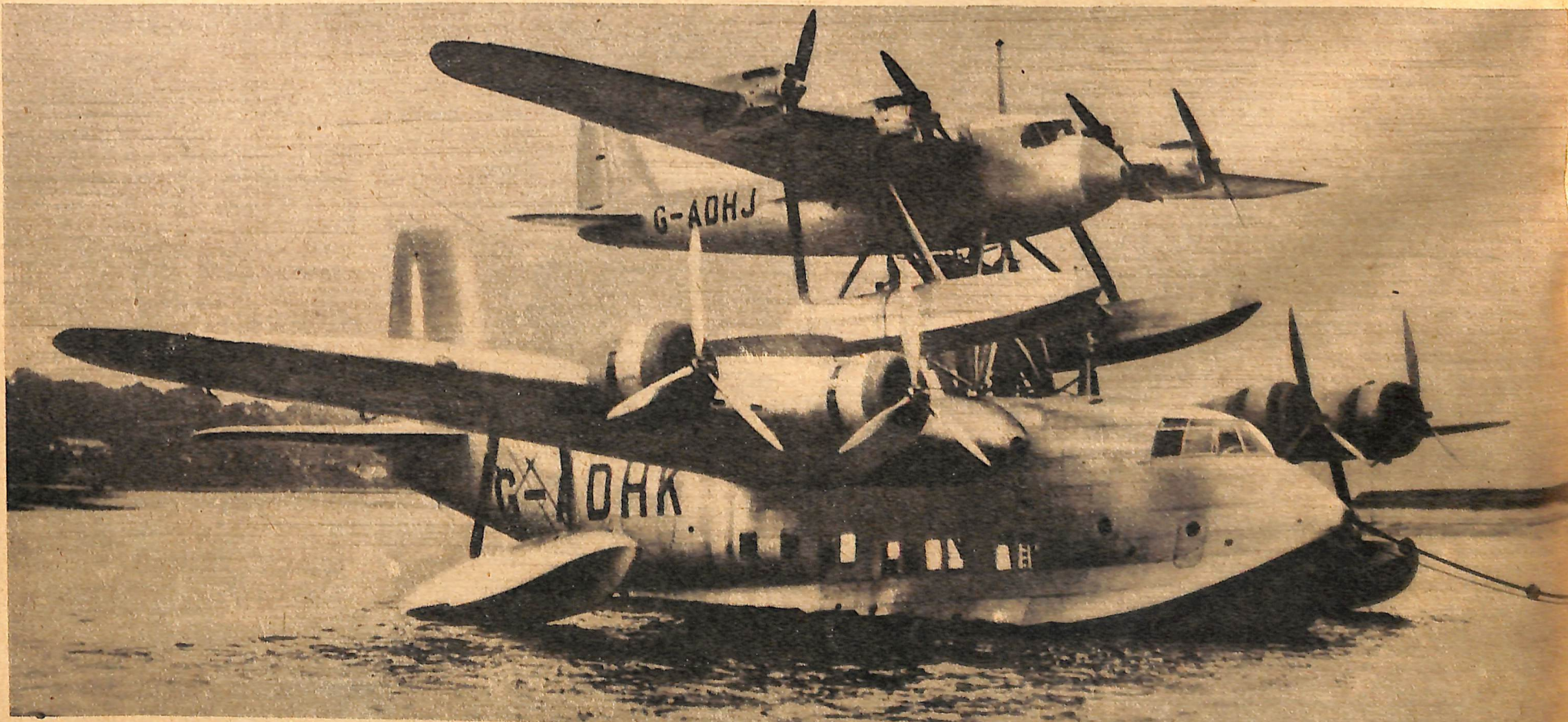


Ten dziwnie wyglądający samolot konstrukcji brytyjskiej, złożony z dwóch aparatów, rozłączających się w czasie lotu, używany był w Anglii dla celów doświadczalnych. Doświadczenie to przydało się jego konstruktorom w późniejszej produkcji dobrze znanych bombowców typu „Stirling” oraz wodnopłotowca „Short Sunderland”



Amerykański „Mars” — największy wodnopłatec świata. Rozpiętość jego skrzydeł wynosi 200 stóp, a objętość równa jest objętości 16-pokojowego domu. W samolocie tym, mogącym pomieścić 150 ludzi, znajduje się specjalna kabina służbowa dla oficerów, prywatna kabina dla dowódcy oraz dwa przysnice. „Mars” może wystartować z Ameryki, zbombardować wyznaczone obiekty w Europie i powrócić do bazy amerykańskiej bez lądowania i uzupełnienia paliwa

Rozległe lotniska w Anglii są dzisiaj nie tylko bazą dla największych powietrznych działań wojennych w historii świata, ale również dla lotnictwa komunikacyjnego przyszłości. Wielkie statki powietrzne przestały być wizją, są już rzeczywistością. Oto scena na jednym z międzynarodowych lotnisk w Anglii, scena powtarzająca się niemal co chwila, co dzień, co noc: wielomotorowy amerykański „Skymaster” — potężna „taksówka” transportowa ląduje po bezpośrednim locie z Waszyngtonu. Tuż obok „Liberator” ze znakami RAF’u startuje do Montrealu, a na drugim końcu lotniska ruszyły motory „Douglas’a C-47”. Przewoży powietrzne ludzi i towarów — to często kwestia już nie dni, a tylko godzin. Tutaj, na tych wielkich lotniskach, z doświadczeń wojennych, z ciężkich lotów bojowych rodzi się lotnictwo komunikacyjne, które jutro ma służyć całej ludzkości. Dzisiejsza przewaga powietrzna anglo-amerykańska nad Niemcami otwiera przed przyszłymi konstruktorami wielkie możliwości. Już dzisiaj produkuje się niektóre typy transportowców powietrznych, wagi około 100 ton, być też może, iż produkowane będą ciężkie bombowce zrobione całkowicie z materiału plastycznego. Linie komunikacyjne i wielkie transportowce powietrzne dnia jutrzejszego zmniejszą jeszcze bardziej świat, i — być może — również przedzieliły, dzielące narody.



NA WZGÓRZU 116



Świeże włoskie winogrona

Był dzień, taki jak wszystkie sierpniowe dni tutaj: słoneczny i gorący. I jak każdego sierpniowego dnia tego roku buchały za zielonymi pagórkami wystrzały dział i spękana od słonecznego żaru ziemia wytryskała czarnymi słupami w przezroczystą jasność niebieskiego stropu.

Pod stógiem słomy, opodal poszczerbionego granatami domostwa, umawiałem się z por. Szr., dowódcą plutonu „Stuartów” w drugim szwadronie Ułanów Krechowieckich, na dzisiejszą wyprawę.

— Łazikiem dalej pan nie pojedzie — powiedział porucznik — ale mogę wziąć pana do mego „Stuarta”. Dam panu słuchawki, będzie pan włączony do sieci. Szwadron zaraz rusza. Okey?

— Doskonale! Okey!
Szybko gramolę się na miejsce przedniego strzelca obok kierowcy, za mną w wieżyczce siada por. Szr. i fotoreporter pancerniaków, kolega Sz.

Nakładam na uszy słuchawki, ale oprócz trzasków i pisku, nic jeszcze nie słychać. Rozglądam się po okolicy. Na prawo, między dwoma stogami siana, widać lazurowy płąt morza, na lewo łany wysokiej kukurydzy, w której majaczej cielska czołgów, do przodu wznosi się pokryty rzędami winnych krzaków stok pierwszego horyzontu — wzgórze 116. Od szczytu dzieli nas jakieś 300—350 metrów, potem pójdzie nowa dolina i nowe wzgórze, jeszcze jedno wgłębienie i dalsze pasmo pagórków, stoki i przeciwstoki, aż do fałdy terenowej, na północnej krawędzi której znajduje się wzniesienie 151, uchwycenie

go jest właśnie zadaniem Krechowiaków. Dla wykonania tej operacji trzeba przejść 7 kilometrów po grzbiecie pagórków, wygiętych łukiem, przeskakując z pasma na pasmo. Przejść, to znaczy wyjść przeciwstokiem na szczyt, przeskoczyć ogień, który Niemcy położą natychmiast na ukazujące się czołgi, zmusić do milczenia znajdujące się w kotlinie środki ogniowe, a zwłaszcza najgroźniejszego wroga czołgów ppance, ubezpieczyć współdziałającą piechotę, która przystąpi do oczyszczania terenu z resztek nieprzyjaciela i znów — podjeżdżać pod szczyt następnego wzgórza, ażeby rozpocząć to samo — od nowa.

Pagórkowaty, falisty teren, pokryty winnicami, sadami i łanami kukurydzy, ten pejzaż zielony, tchnący dostatkami i spokojem, nie cieszy oczu żołnierza. Załoga czołgu, który wyskakuje na szczyt wzgórza, nie dostrzega piękna krajobrazu. Tych pięciu ludzi, zamkniętych na wspólną dolę i niedolę w stalowym pancerczu, widzi przede wszystkim teren, pełen ukrytego niebezpieczeństwa, gotowy w każdej chwili zionąć morderczym ogniem.

Bo i te niewinne, niskie winnice, i kępy rozrostłych dębów i rozłożyste, i kolorowe domki — wszystko to może być stanowiskiem albo działek przeciwpancernych, albo S. P., albo Horneta, samobieżnego potwora o siedmiometrowej lufie i potężnej sile przebijającej, albo wreszcie niemieckiego czołgu.

Niemcy oczekują tu nas od dawna, broń ich jest doskonale ukryta, odległości i cele znane i wstrzelane, obsługa bacznie obserwuje horyzont: szansa za-

skoczenia i niespodzianki prawie żadna. Nic z tych przywilejów nie ma nasz czołg: cele dla swej broni może wybić dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciel zdradzi swe stanowiska, otwierając do niego ogień.

Szanse w tym nierównym pojedynku

stwarzają dla załogi czołgu jej wartości osobiste: błyskawiczność orientacji i decyzji, szybkość działania, sprawność techniczna, instynkt, węż — słowem — to coś, co podszeptuje dowódcy, kiedy, jak i co zrobić, no i szczęście, szczęście żołnierskie...

W numerze:

SPRAWY POLSKIE

Ucieczka od polityki — ucieczką od życia — *Juliusz Mieroszewski*

REPORTAŻE WOJENNE

Z Włoch: Na wzgórzu 116 — *Tadeusz Zajączkowski*

Z Niemiec: Amerykanie przekroczyli granice Rzeszy — *Paul Holt, korespondent „Daily Express”*

WIADOMOŚCI Z KRAJU

O księżce wydanej w Warszawie przez Polską Akcję Dywersyjną „N” — *Tadeusz Pniewski*

NOWELA

Do następnej klasy... — *Tadeusz Wittlin*

NASZA OKŁADKA

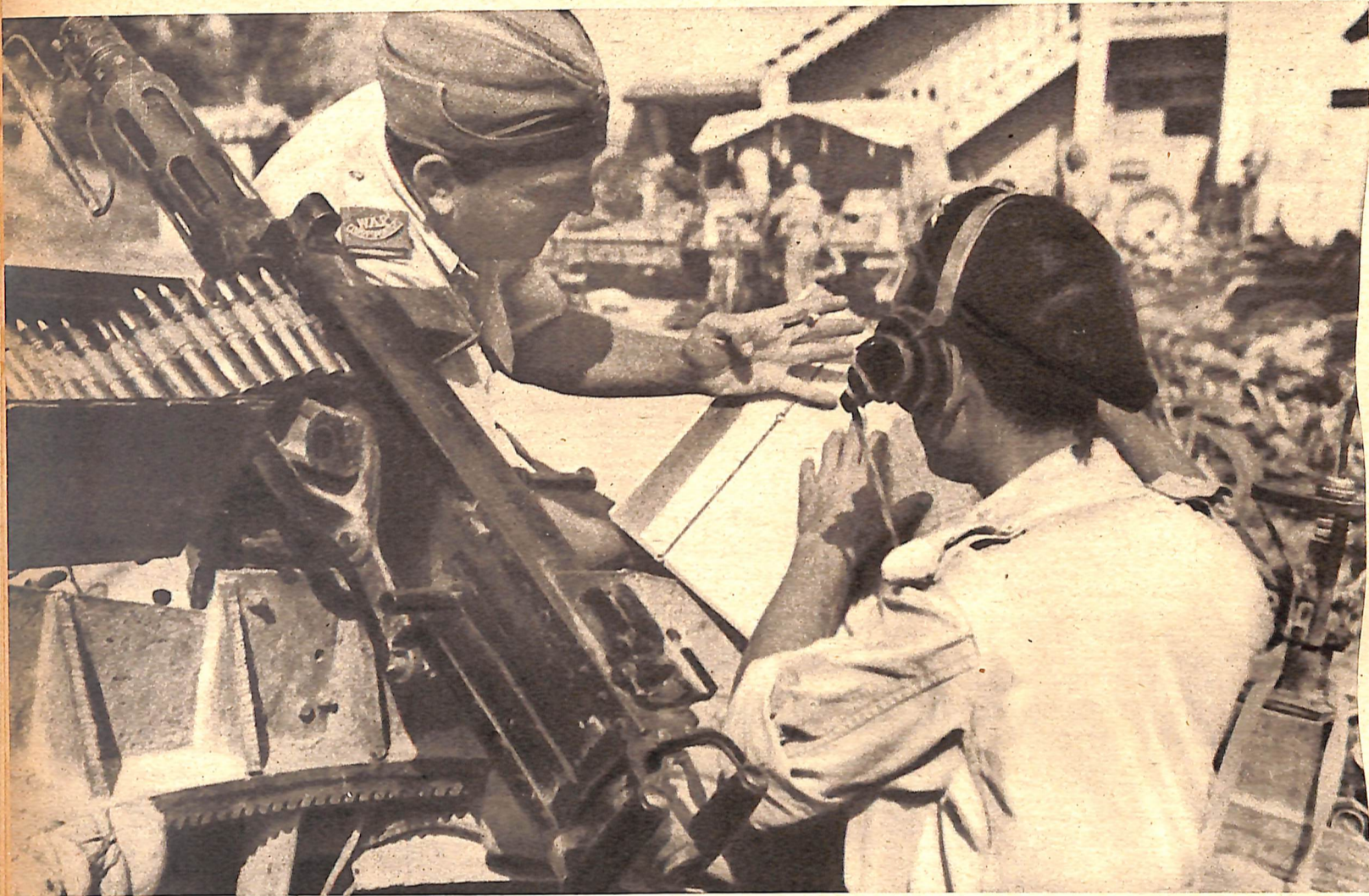


W drodze na kontynent]

Fot.: U. S. Office of War Information

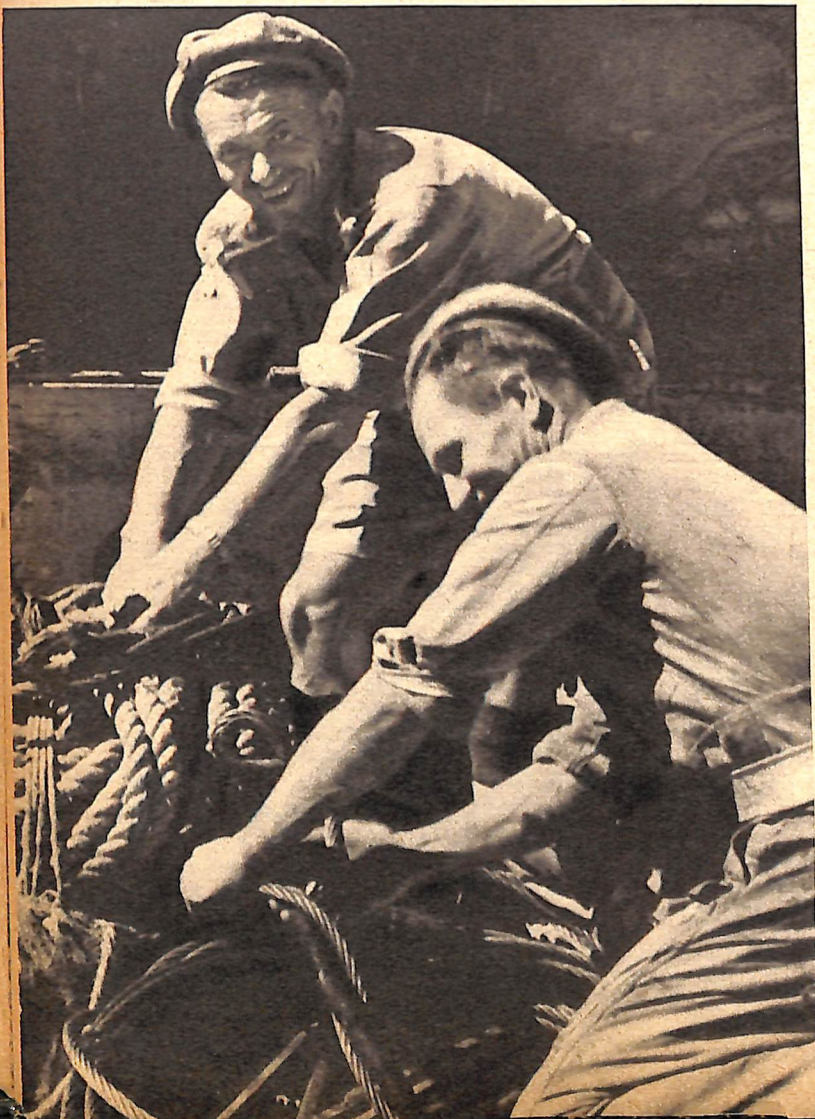


Zdobyte na Niemczech przez naszych pancerniaków działo samobieżne „kazikiem dalej pan nie pojedzie — ale mogę zabrać pana do mojego Stuarta” — mówi porucznik ↓



Liny, linki, kable stalowe — materiał saperski

Polski krzyż przydrożny we Włoszech



...Nagle w chrobot słuchawek wpada wyraźny głos: — Stefan cztery, melduję, że przede mną jedzie to, co miało jechać przedtem.

Drugi głos odpowiada: — Rozumiem, czy jest baka, który ma jechać z wami? — Zawiadomiłem bacę, że czekamy na rozkazy. Mamy stać, czy jechać?

— Tak jest, zaraz odpowiem... — i po chwili: — Stefan cztery, Stefan cztery! macie ruszać! Jechać w odległości stu metrów, nie w kupie, najpierw jeden, potem trzy, potem cztery, potem jadę ja...

Znów trzaski, chrobot i zgrzyty, które wnet przytłumia pośpieszny głos:

— Stefan cztery, Stefan cztery ruszać! Ruszać!

Z lewej, kładąc pokotem wysoką kulkurzydę, wysuwają się szare cieleśka czołgów. Jeden, drugi, trzeci. Nasz „Stuart” pełźnie za nimi. Powoli podsuwamy się pod szczyt 116. W słuchawkach znów dzwięczy głos: — Baka Jadwiga jedzie na dwadzieścia trzy, jedzie na dwadzieścia trzy, tam się spotkamy...

Czołgi podjeżdżają coraz bliżej szczytu, coraz bliżej od tej wąziutkiej kreski, która oddziela ciemną ziemię od jasnego niebieskiego stropu. Po przekroczeniu tej granicy otworzy się przed oczyma załogi szeroki widok na dolinę, leżącą między szczytami 116 i 120, otworzy się też wściekły ogień dział niemieckich. Już teraz biją one coraz gęściej, coraz natarczywiej na pierwszy szwadron pułku, który przed nami przekroczył horyzont.

Pod samym szczytem mijamy linie piechoty. Pod półkolkami, w płytkich, naprędcie wykopanych rowach zamaskowanych sнопami, leżą „Karpaczczy”. Spoceni, czarni od kurzu, zmęczeni ciężką pracą bojową, zapadli tu na chwilę przed nowym wysiłkiem, przed nowym skokiem naprzód. Jak tylko przejdą czołgi ruszą zaraz i oni.

Pierwszy czołg szwadronu wyskoczył na szczyt. Stał. Zapewne załoga bacznie wypatruje, co się dzieje na przedpolu. Nagle przed czołgiem wytryskują czarne fontanny ziemi i dymu. Potężny huk wstrząsa powietrzem. Potem drugi, trzeci, czwarty... Czołg cofa się pośpiesznie. Na szczycie wyrastają prawdziwe ściany wybuchów i opadają tumanami kurzu i dymu. To Niemcy położyli zapórę ogniową ciężkiej artylerii. Czołgi czekają na stosowny moment, aby przez nią przeskoczyć. Piechota kul się w swych rowach.

Por. Szr. proponuje, żebyśmy podeszli kilkadziesiąt kroków do domku stojącego na szczycie: stamtąd można będzie obserwować przedpole.

W piętrowym budynku na parterze siedzi kilkunastu piechurów. Na piętrze przy oknie otwartym w kierunku pola bitwy, stoi telefon i siedzi kapral obserwator. Stają przy nim i przez lornetkę widzą, jak pierwszy szwadron rozwija się wachlarzem, widzą ogień z dział czołgów, wybuchy niemieckich pocisków. Kiedy patrzy, pochłonięty pasjonującym widokiem akcji, nagły podmuch odrzuca go w tył. W twarz uderza sноп pyłu i piasku. Domem wstrząsa jedno uderzenie, potem drugie. W pokoju robi się ciemno od gorącego kurzu. Kapral szarpie mnie za rękaw i ciągnie do schodów. I kiedy oślepieni zbiegamy w dół, nad głową słycać huk dalszych wybuchów i rumor walącego się dachu. Z podwórza dolatuje ostry krzyk: — raturciel! — i do izby na parterze wpada ślaniający się na nogach żołnierz. Cała twarz i mundur na piersi ma zalane krwią. W izbie robi się ruch. Wyciągają się ręce z bandażami...

Tymczasem ogień niemiecki przesunął się w prawo i korzystając z tego nasze czołgi przeskoczyły szczyt i są już w dolinie. Za nimi wpada piechota na catterach. Teraz z naszego wzgórza widać, jak się nasila walka tam, w dole. Czołgi manewrują między krzakami i kępami drzew, przeskakują od zasłony do zasłony, bijąc z dział w stanowiska niemieckie. Piechurzy migają w zaroślach. Huk dział, terkot karabinów maszynowych, krótkie serie broni automatycznej splewają się w chaotyczny zgiełk.

Nie wiem, jak długo to trwa. Zatrącam całkowicie poczucie czasu. W jakiejś chwili, patrząc jak słońce przesuwa się między gałęziami drzew na zachodzie, uświadomiłem sobie, że przesiedziałem tu prawie cały dzień.

Z powracającym poczuciem rzeczywistości budzi się w ciele nagły głód i wielkie zmęczenie. Nie chce mi się ruszać, nie chce mi się iść, nie chce wracać.

Leżę w coraz dłuższym cieniu krzaków i zdaje mi się, że może chociaż w części zdołam zrozumieć stan tych ludzi, dla których piękna ziemia włoska jest tylko terenem, pełnym groźnych zasadzek i niespodzianek, a lato, gorące i słoneczne, błyskawiczną migawką dni i nocy, szarpanych na złoto-granatowe strzępy tysiącami ton dynamitu i stali.

ZDOBYCIE PESARO

Oddziały polskie stoją już poza linią Gotów, ostatnim umocnieniem niemieckim broniącym dostępu do nizinnych terenów doliny Padu. Poza nami znajduje się już port Pesaro, zamieniony na twierdzę i ciągnące się na zachód od niego pasmo gór, najeżone barykadami z drutów kolczastych, betonowymi schronami, rowami przeciwczołgowymi, oraz silnie zaminowane, pełne najbardziej skomplikowanych pułapek, założonych przez Niemców.

Po stoczeniu szeregu ciężkich bitew stanął Korpus Polski 21 sierpnia nad rzeką Metauro, ostatnią z rzek, które trzeba było sforsować na drodze do linii Gotów. Do tego dnia Korpus Polski miał całkowicie oczyścić od nieprzyjaciela południowy brzeg rzeki Metauro i Dowódca Korpusu gen. Anders mógł zameldować w dniu tym gen. Leese, wykonanie zadania.

Na całym froncie VIII Armii montowano generalne natarcie na linię Gotów. Na wyznaczone stanowiska podciągały wielkie ilości wojska i sprzętu. 26 sierpnia zaczęło się „dociskanie do linii Gotów”. W ramach tego natarcia otrzymaliśmy zadanie utrzymania przyczółka po drugiej stronie rzeki Metauro i nacierania na wzgórza położone na północ od niej. Trzy i pół godziny trwająca nawała artyleryjska unieszkodliwiła niemieckie baterie. Nad ranem 26 sierpnia piechota polska była już nie tylko na północ od Metauro, ale też i na północ od szosy nr 3 tzw. Via Flaminia, prowadzącej z Rzymu nad Adriatyk. Leżące u podnóża gór, na które zaczynaliśmy natarcie, miasteczko Borgo Lucrezia zastaliśmy zupełnie zniszczone. Niemcy wysadzili je w powietrze tak dokładnie jak robili to ze wszystkimi mostami i wiaduktami kolejowymi. W tym wypadku chcieli usunąć jedyną naszą osłonę przy natarciu na wzgórza. Po raz pierwszy też zetknęliśmy się z faktem całkowitego opuszczenia przez ludność cywilną zajmowanych przez nas terenów. Niemcy w przewidy-

Ruiny bazyliki w Anconie

waniu ciężkich i długotrwałych walk kazali wszystkim wynosić się na tyły frontu, a wiele osób zabrali siłą na roboty. Niektórym z Włochów udało się zbiec. Opowiedzieli oni, że prace nad ufortyfikowaniem Pesaro trwały od trzech miesięcy i prowadzone były tylko w nocy, aby nikt z cywilów nie mógł się zorientować w ich szczegółach.

Opanowanie wzgórz na północ od Metauro nie było łatwe, Niemcy bowiem do samego końca trzymali się zasady uporczywego przedłużania swego odwrotu kosztem zadania nam największych



Jesteśmy w Pesaro



Za chwilę będziemy budować most

strat, nie zważając zupełnie na własne. I kiedy widzieli, że jeden z punktów oporu jest stracony, pozostawiali tam jeszcze małą grupkę żołnierzy z bronią maszynową, dając im rozkaz walki do upadłego. Raz po raz jednak na wzgórzach pojawiały się kłęby dymu od zapalanych przez Niemców stogów siana. Były to znaki dla ich artylerii, że piechota się wycofuje i można już tam strzelać.

Wielka bitwa, której fragmenty oglądał z punktu obserwacyjnego premier Churchill, trwała kilka dni. Klin wbity w niemieckie linie obronne pogłębiał się, podciągały nowe ilości sprzętu i nowe wojska, sztaby przesuwały się dalej, olbrzymiej długości kolumny sunęły bez przerwy głównymi i bocznymi szlakami komunikacyjnymi w stronę frontu. Siły niemieckie zgrupowane nad Adriatykiem, nękane bez przerwy przez oddziały naszej kawalerii zmotoryzowanej, rozpoczęły odwrot. Teraz rozpoczęła się walka z minami i pułapkami, szybka budowa przejazdów przez rzeki i stawianie mostów. Port Fano zupełnie wyludniony, silnie zaminowany zajęliśmy bez wielkiego oporu. 30 sierpnia VIII Armia stała w dolinie rzeki Foglia. Karpacki Pułk Ułanów, osłaniający prawe skrzydło natarcia, stał u wrot Pesaro, będącego pierwszymi schodami do linii Gotów. W tej chwili było to najbardziej na północ wysunięte stanowisko VIII Armii. Kiedy w nocy marynarka brytyjska ostrzeliwała port, ułani wdarli się do miasta od strony zachodniej. Rozpoczęły się walki uliczne. Niemcy strzelali z okien i dachów domów, zza rogów ulic, z poza ustawionych gęsto barykad. Przez trzy dni prowadzone były walki w mieście, w nocy wycofywaliśmy się z miasta i wtedy zaczęła strzelać artyleria.

Jeńcy z 1. niemieckiej dywizji spadochronowej, naszych starych znajomych z walk o Cassino, przynieśli wiadomości o ściągnięciu do miasta nowych sił. W ciągu tych trzech dni walk widzieliśmy wielu jeńców z tej wyborowej niemieckiej dywizji. Jeden z nich, 18-letni berlińczyk, atletycznej budowy, po raz pierwszy znalazł się na froncie. Od półtora roku jest w wojsku, przeszedł wyszkolenie w Berlinie i na własne oczy przekonał się o niszczyielskiej sile sojusznicznych samolotów. Nie wiedział, że ma do czynienia z Polakami. Gdy mu przypomniało, co Hitler powiedział o Polsce przed pięciu laty, odpowiedział: „Hitler wiele rzeczy nam mówił, przyrzekał przecież, że gdy rozpoczniemy wojnę, wszyscy pójdą razem z nami”.

2 września Pesaro było ostatecznie w rękach polskich. Na ulicach leżały trupy niemieckich żołnierzy. Z miasta wiała dziwna pustka, większość domów, zwłaszcza na skrzyżowaniach ulic, jest zniszczona. Z 40 tysięcy Włochów tylko kilkunastu ukryło się w olbrzymim więzieniu, dawnym zamku Sforzów.

Jednocześnie ze zdobyciem Pesaro pękła linia Gotów na całej niemal długości. Wykonywujące manewr oskrzydlający poprzez góry wojska sojusznice spotkały się z nami na Strada Adriatica, szosie nr 16, kilka kilometrów na południe od Cattolica. Następnego dnia piękna nadmorska miejscowość z doskonale zachowanymi willami, pensjonatami i hotelami była już w rękach VIII Armii. W dwa dni później padło Riccione.

Od Rimini wojska Sprzymierzonych weszły w teren nizinny, gdzie Niemcy nie mają już żadnych naturalnych umocnień.

Ryszard Mossin

OCHOTNICZKI ODZNACZONE KRZYŻAMI WALECZNYCH I ZASŁUGI

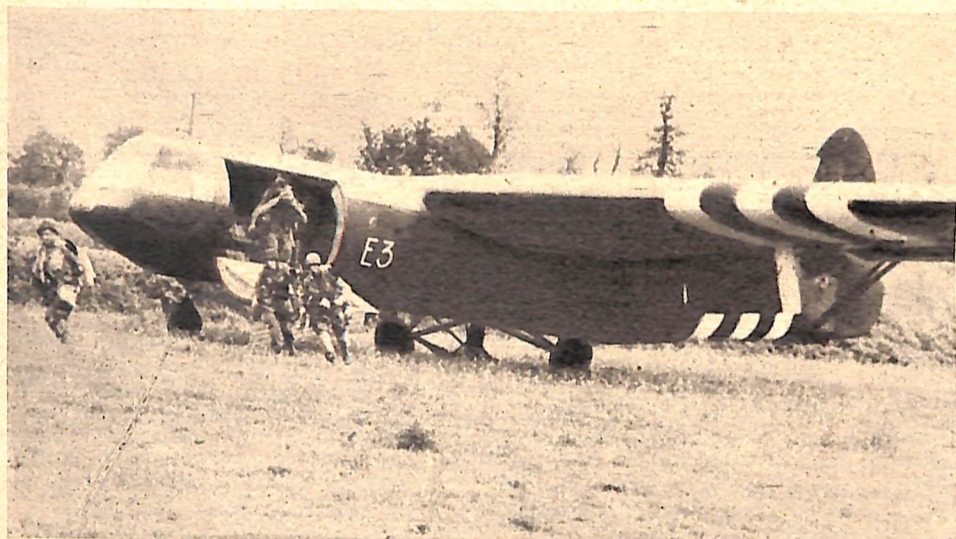


11 września br. „gdzieś we Włoszech” dwie ochotniczki polskie — Stanisława Biernacka i Maria Łempicka — odznaczone zostały Krzyżem Walecznych, dziesięciu innym nadano Krzyż Zasługi z Mieczami, wszystko za wykazaną odwagę. Odznaczone ochotniczki pełniły służbę w kompanii kantyn ruchomych, utworzonej w styczniu 1943 roku w Iraku i dysponującej dziś jedenastu samochodami-kantynami, obsługiwanych przez 77 ochotniczek. W kampanii włoskiej podczas 6 miesięcy każda ruchoma kantyna wydawała codziennie około 1000 żołnierzom herbatę i posłki. W czasie bitwy o Cassino i w ciągu operacji na odcinku adriatyckim docierały do wysuniętych pozycji, pełniąc często służbę pod ogniem niemieckich dział i moździerzy.

Stanisławie Biernackiej Krzyż Walecznych nadany został za służbę w kantynie, która w okresie bitwy o Cassino była przydzielona do wysuniętego punktu opatrunkowego. W nocy z 11 na 12 maja samoloty niemieckie zbombardowały rejon, wypełniony ambulansami, a już przedtem ostrzeliwany przez artylerię. Dwóch lekarzy zostało zabitych, wśród personelu szpitalnego było wielu rannych. Ochotniczka Biernacka pełniła służbę nieprzerwanie, wydając gorącą herbatę i zakąski, i opatrując poza tym rannych. Miejscem służby Marii Łempickiej był straszny „Inferno Track”, gdzie przez 17 dni wydawała gorącą kawę i herbatę wyczerpanym piechurami. Kiedy upiorny „Ridge Corner House” był pod ciężkim ogniem nieprzyjaciela, Łempicka nie dała się nakłonić do opuszczenia swego posterunku.

Te nadane krzyże są odznaczeniami nie tylko tych dwunastu ochotniczek, ale przynoszą zaszczyt całej PSK.

„Pestki” zdały swój egzamin bojowy.



Szybowiec wylądował. Żołnierze biegną na wyznaczone zgóry pozycje

Największa armia powietrzna

W bitwie o Niemcy, jaka toczy się wzdłuż Renu, szczególna rola przypadła wielkiej sojuszniczej armii, przetrucionej drogą powietrzną, samolotami i szybowcami, do Holandii, na tyły wojsk niemieckich. 17 września lądowały pierwsze oddziały przy licznych współdziałaniach spadochroniarzy, a już w kilka dni potem w Nijmegen nastąpiło połączenie tych „airborn” — oddziałów

z 2 Armią brytyjską generała Dempsey'a, co pozwoliło na przekroczenie Renu i opanowanie przyczółka w Arnhem. Grozi to Niemcom obejściem linii obronnej Renu, skąd już prosta i daleko łatwiejsza droga w samo serce przemysłowej Rzeszy. Główne założenie operacji — zaskoczenie taktyczne udało się w zupełności. Oddziały „sptywające i spadające z nieba” opanowały





Teren lądowania oddziałów „airborn” — we Francji

niemal wszystkie mosty strategiczne na kanałach, dzięki czemu bitwa o Holandię nadreńską przybrała obraz niespodziewany dla Niemców. Jest to największa samodzielna armia, jaka kiedykolwiek w historii wojen przewieziona została drogą powietrzną. W pierwszej fazie tej operacji brało udział ponad 1000 szybowców, wspieranych przez 1000 ciężkich bombowców. Przygotowanie armii „latającej” trwało lata. Składa się ona z oddziałów brytyjskich i amerykańskich, wyposażonych w broń wszelkiego rodzaju — działa, moździerze, nawet w czołgi.

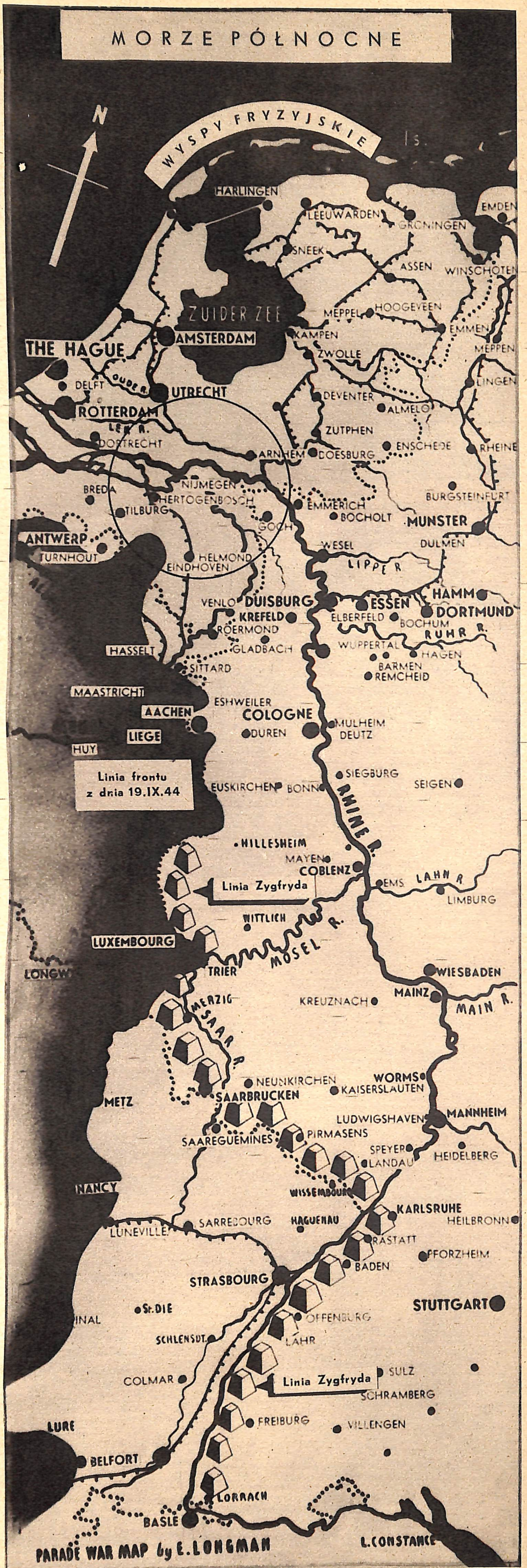
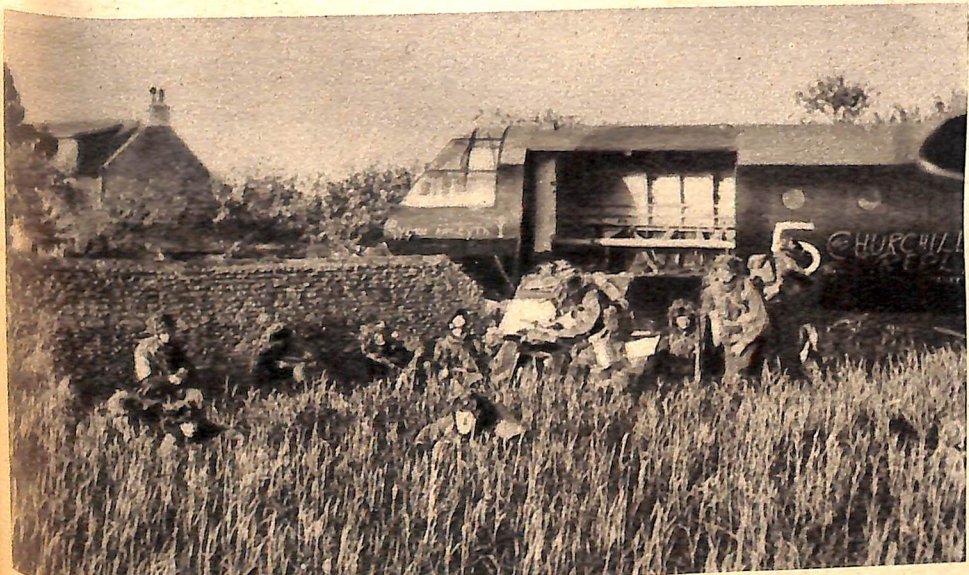
Jest też przygotowana do dłuższego samodzielnego działania, w którym z góry jest wiadome, że wszelkie zapotrzebienie będzie mogło być dostarczone jedynie drogą powietrzną. „Airborn” — armia, o której źródła niemieckie podają, że 20 września, więc w trzy dni po pierwszym lądowaniu, liczyła już ponad pięć dywizji, dowodzi generał Breton. Jest to armia żołnierzy, do których Naczelny Wódz wszystkich wojsk sojuszników w Europie, generał Eisenhower powiedział przed startem, że — oni właśnie mogą znacznie przyspieszyć koniec wojny.

Mapa linii Zygfyda. Kołem zaznaczono teren operacji specjalnej „airborn” armii

Zbieranie zaopatrzenia, zrzuconego walczącym już oddziałom



Odpoczynek tuż obok szybowca





Dzieci w Rennes przysłuchują się koncertowi orkiestry wojskowej



Amerykanie przekraczają granicę Trzeciej Rzeszy — w pobliżu Aachen

Mieszkańcy belgijskiego miasta Couvin witają wkraczające wojska Sprzymierzonych

Okrzyk zwycięży! — Pierwszy krok na ziemi

SPRZYMIERZONY na ziemi nie

Napisał PAUL HOLT — korespondent

Na froncie zachodnim wojska Sprzymierzonych, po sforsowaniu w lasach Eupen pierwszych okopów i zapór przeciwczołgowych linii Zygfryda, zwanych smoczymi zębami, wyparły Niemców z z wielu miejscowości nadreńskich.

W zajętych przez amerykańskie oddziały wsiach, osiedlach i miasteczkach, gdzie spojrzeć, wszędzie powiewają bia-

Niemiecka ludność i pierwszy amerykański





Oto fragment „zmotoryzowanej” armii niemieckiej

nie zadowolili się wywieszeniem jedynie takich chorągwi, lecz nosi suknie o barwach narodowych francuskich. Przy niej stoją dwie małe dziewczynki ubrane podobnie, trzymając w dłoniach białe chusteczki, którymi powiewają naszym oddziałom.

Przeciągające ulicami miasteczka wojska amerykańskie maszerują pomiędzy szpalerem tłumnie wyległych mieszkańców. Ludność jest biedna, wygłodniała. Twarze znużone o zapadłych policzkach i ziemistej cerze, włosy często przyprószone przedwczesną siwizną, odzież uboga. Kobiety noszą pantofle na bosych stopach, nie modne suknie i swetry domowej roboty, usta i policzki dawno nieknięte szminką ani pudrem, u żadnej nie widać biżuterii, lub jakiegokolwiek błyskotki. Zewsząd daje się odczuć ogromne znużenie wojną, choć zajęte miejscowości nie są zniszczone. Okręg ten bowiem nie był bombardowany przez lotnictwo, to też pomimo ubóstwa nie widać tu śladu wojny. Nadchodzących żołnierzy amerykańskich ludność wita przyjaźnie, być może dlatego, że wie, iż wkraczające wojsko nie jest armią, która stosuje terror wobec spokojnych mieszkańców, która rozstrzeliwuje zakładników, zamyka w obozach śmierci lub wywozi na ciężkie roboty do lasów i kopaliń.

Przed chałupą jednej z wiosek pod Aachen stoi dwoje małych dzieci. Dziewczynka i chłopiec. Są to dzieci przed dwoma laty porwane przez niemieckich żołnierzy, okupujących terytoria na froncie wschodnim. Rodzeństwo to trzymane początkowo w przymusowym obozie pracy zostało następnie sprzedane tutaj, jako niewolnicza siła robocza. Teraz dzieci szczęśliwe z ucieczki znienawidzonych hitlerowców, raz w raz dopytują się, czy istotnie są wolne i kiedy powrócą do domu. Chłopka Niemka, która dzieci kupiła, płacząc w obawie, że spotka ją zasłużona kara za znęcanie się, zapewnia, że dobrze się z nimi obchodziła. Scena dzieci zabranych z podbitego kraju i zaprzędanych do pracy pod batem jest jednym z charakterystycznych obrazów hitlerowskiego „nowego porządku”.

Jeden z wyższych niemieckich oficerów opuszczając miasto wezwał mieszkańców, by wkraczające wojska nieprzyjaciela przyjęła kamieniami, widłami i wrzącą wodą. Poleceni tych nie wykonano. I to nie tylko w Eupen, które leży w Belgii, lecz również i w niemieckim Roetgen. Jakaś starsza kobieta opowiada, że hitlerowcy przed poddaniem tego miasta, pozwolili mieszkańcom wyjść wraz z wojskiem niemieckim. Jednakże zaledwie czwarta część ludności skorzystała z tego dobrodziejstwa. Siedemdziesiąt pięć procent wolało pozostać na miejscu i teraz wita wkraczające wojska amerykańskie. Zatrzymujących się w swym przemarszu żołnierzy ludność częstuje winem, piwem, owocami, a czasem i uśmiechem. Może widzą już nieuchronny i szybki koniec hitleryzmu.

Takie przynajmniej słychać zewsząd głosy. Trudno jednak określić, czy są szczerze, czy też kryje się za nimi podstępna chęć zjednania sobie zwycięzców.

Tysiące i tysiące niemieckich jeńców w okolicy Sedanu



Żołnierze pierwszej armii amerykańskiej maszerują w głąb kraju



Scena kapitulacji...

IRZENI a nieckiej

„DAILY EXPRESS”

Całkowita kapitulacja i brak oporu ze strony miejscowości jest tu nieoczekiwane ogólnie. Na dachach wszystkich niemal z każdego okna powiewają chorągwie poddania, naprędcie z prześcieradeł, serwet lub Na jednym z udekorowanych stołów stoi młoda kobieta, która



KŁAMSTWO NIEMIECKIE

W walce z Niemcami Polska nie wzgardziła żadną bronią. Mielismy symboliczne i tragiczne kosy w Gdyni, we wrześniu 1939 roku, dzisiaj mamy w korpusach walczących poza Krajem najlepszą nowoczesną broń; w ciągu pięciu lat okupacji niemieckiej operowaliśmy sabotażem i walką podjazdową równie namiętnie i skutecznie, jak biernością i pogardą, działaliśmy nie tylko bombą i karabinem, ale także słowem drukowanym i szepotanym. W najtrudniejszych warunkach, w Kraju, nauczyliśmy się robić dobrą propagandę wśród swoich i wrogów, przeciw wrogom.

Wzorem takiej propagandy, osłabiającej postawę moralną nieprzyjaciela, przykładem zatrutej strzały, która choć nie zabija, sieje spustoszenie większe, niż pocisk karabinowy, jest wydana w Warszawie broszura pt. „Der grösste Lügner” (Największy kłamca). We wrześniu 1943 r. wyszła nakładem Polskiej Akcji Dywersyjnej „N” jako broń myśliwska pierwszej klasy. To polowanie na Niemca z przynętą musiało się udać powszechnie. Przynętą jest okładka z niemiecką karykaturą premiera Churchilla, maskująca właściwą treść pamfletu: zreżymowane dobrane oświadczenia Hitlera, największego w świecie kłamcy i oszusta. Po przeczytaniu tych niewielkich 18 stron zwierz niemiecki musi być poważnie postrzelony, choćby nawet był nim najgłupszy, mueller, czy Piefke.

Redaktorzy, drukarze i współpracownicy Polskiej Akcji Dywersyjnej „N” przepuszczają premiera Churchilla za umieszczenia jego karykatury, co pozwoliło na tym łatwiejsze rozpowszechnianie pamfletu. Specjalna strona poświęcona została następującej dedykacji (tłumaczymy na polski): „Cztery numerowane egzemplarze niniejszego druku, sporządzone na japońskim papierze i w skórę świstkową oprawne, zostały przesłane Führerowi Adolfowi Hitlerowi, Marszałkowi Hermanowi Göringowi, Ministrowi Propagandy dr Józefowi Goebbelsowi oraz Führerowi SS i policji niemieckiej Henrykowi Himmlerowi”.

Treść pamfletu, przeznaczona przede wszystkim dla Niemców, nie jest niczym nowym. Wybrane jednak z książki „Mein Kampf” i różnych przemówień oświadczenia Hitlera, w spotkaniu z rzeczywistością wojenną tak różną od okresu, w którym wygłaszał butne słowa, są interesujące również dla nas, zwłaszcza ze względu na koficzącą się wojnę z Niemcami, a rozpoczętą już okupację Rzeszy. Kilka z nich warto szczególnie przytoczyć.

Fałszywy prorok: „Rok 1941 przyniesie ostateczne uzupełnienie największego zwycięstwa naszej historii”. (Rozkaz dzienny do armii, 1. I. 1941).

„Rok 1941 będzie historycznym rokiem wielkiego nowego ładu Europy”. (Przemówienie w Berlinie, 30. I. 1941).

Rozbój Europy: „Są w Europie Niemcy, są i Polacy. Obie strony muszą się przyzwyczaić do sąsiedzkiego życia. Wiemy, że oba narody istnieją, że muszą żyć razem z sobą”. (Przemówienie w Berlinie, 24. X. 1933).

„Nikt z nas nie myśli o tym, aby zacząć wojnę z Polską o korytarz”. (Wywiad w Berlinie, 18. X. 1933).

„...i dlatego zażądałem od Polaków natychmiastowego zwrotu Gdańska i ko-

rytarza”... (Przemówienie w Gdańsku, 19. IX. 1939).

„Brytyjczy mężczyźni stanu, twierdzący, że Niemcy zamierzają opanować Europę aż po Ural, będą teraz szczęśliwi i spokojni, kiedy wreszcie dowiedzą się, iż nie chcieliśmy i nie chcemy zdobyć Ukrainy. Nasze interesy są bardzo ograniczone!” (Przemówienie w Gdańsku, 19. IX. 1939).

Sowiety: „Obłądem byłoby sprzymierzyć się z mocarstwem, które opanowane jest przez śmiertelnego wroga naszej własnej przyszłości. Jak można przedstawić niemieckiemu robotnikowi bolszewizm jako przeklętą zbrodnię wobec ludzkości, będącą samą sprzymierzonym z organizacją tego płodu piekielnego?”. („Mein Kampf” str. 752).

„Już raz oba narody we wzajemnej walce śmiertelnie wykrawały się, bez jakiegokolwiek zysku. Zgodziliśmy się ze Stalinem, aby tej przyjemności panom z Londynu i Paryża nie zrobić po raz drugi. Nadzieja więc na nowe niemiecko-rosyjskie napięcie jest po prostu dziecinna!” (Przemówienie w Berlinie, 8. XI. 1939).

„Pakt nieagresji i konsultacji z Rosją Sowiecką połączył dwa największe państwa Europy we wspólnej woli, by narody ich już nigdy przeciw sobie nie walczyły”. (Przemówienie w Berlinie, 20. II. 1941).

Anglia: „Błędna jest opinia, że Anglia nie odważyłaby się na przelanie własnej krwi w obronie swej polityki gospodarczej. Anglia posiadała zawsze to uzbrojenie, którego właśnie potrzebowała, walczyła zawsze bronią, która gwarantowała powodzenie. Walczyła wojskiem zaciętnym, dopóki to wystarczało, ale poświęcała również cenną krew całego narodu, jeśli to tylko prowadzić mogło do zwycięstwa. Zawsze też prowadziła wojnę z tą samą niezmienną zaciętością, zdecydowaniem i bezwzględny kierownictwem”. („Mein Kampf”, str. 158).

Wydana przez Polaków broszura do- bywa z zapomnienia i przedstawia ocenę publicznej tę broń Hitlera, o której najmniej się mówiło, a którą on sam postawił w pierwszym rządzie instrumentów walki: — kłamstwo. Pisze o nim w „Mein Kampf”: „W wielkości kłamstwa jest zawsze jeszcze pewien czynnik ciągłej wiary”.

Reżim narodowo-socjalistyczny udoskonalił tę broń i doprowadził do perfekcji. Kłamstwo służyło Trzeciej Rzeszy również skutecznie na wewnątrz, jak i na zewnątrz, długo i niestety niemal niespostrzeżenie. Tym bardziej, że broń tę postługiwali się już — pierwszy socjalistyczny prezydent Niemiec Ebert i Stresemann, Luther, Brüning i Papen... Świat słuchał i wierzył — jedni, i udawał, że history — drudzy. Szczytem tej wiary był historyczny gest Chamberlaina, powiewającego z triumfem świstkiem papieru, podpisanym w Monachium; historyczny również i pod tym względem, że powinien być stałą przestrogą jeszcze dzisiaj, aktualną w stosunku do zapewnienia nie tylko niemieckich...

Dzisiaj, kiedy pięć lat upłynęło od wybuchu wojny i wojska Sprzymierzonych stoją nad Renem, Hitler — rasowy mówca i kłamca milczy. Poszczekują za niego różne psy i pieski partycjny, wymyślając Niemcom pocieszenia, od których

Der größte Lügner



Kartki z pamfletu, wydane w Warszawie

cierpnie im skóra. Zmęczonym, słabym i „tchórzom” grożą egzekucjami bez litości, reszcie zalecają walkę do ostatniego nawet przy pomocy szpadli i toporów. „Münchner Neuste Nachrichten” widzi we wszystkim wielką planowość: zwycięstwo przestrzeżone miało na celu stworzenie warunków i miejsca dla obecnego odwrotu, który zakończony zostanie zwycięstwem ostatnim i zwycięskim.

To już jest kłamstwo na ostatnich nogach, szukające pozorów jakiejś argumentacji. To jest koniec Trzeciej Rzeszy, koniec uwarunkowany katastrofą wojskową, której akt ostatni rozgrywa się na naszych oczach.

Czy jednak będzie to również koniec tej umysłowości niemieckiej, którą w tak specjalny sposób rozwinął i wzmocnił reżim hitlerowski?

Odpowiedź na to pytanie, ważniejsze od wielu innych dotyczących Niemiec powojennych, muszą dać Sprzymierzeni, ich polityka jak dotychczas mocno niejasna i nie wiadomo, czy ustalona — zwłaszcza w dziedzinie psychicznego oddziaływania.

Okupacja Nadrenii przez wojska Sprzymierzonych po tamtej wojnie jest pouczającym przykładem niezgodności sojuszniczej. Inna była wtedy postawa wobec ludności niemieckiej wojsk francuskich, inna angielskich, a jeszcze inna — amerykańskich. Wyniki są znane. Dzisiaj sytuacja wewnątrz Niemiec jest daleko gorsza. Miliony Niemców wyrosły na kłamstwie, jakim jeszcze nigdy w ten sposób nie oddziaływano w celach wychowawczych, na kłamstwie, jakie możliwe jest jedynie w systemie totalnym. Wydarzenia wojenne, sprzeczne z obietnicami im rajem na ziemi, nadwładziły często tę nabytą w partii wiarę, jednak jej nie złamały, bo złamać nie mogły.

Kłamstwu przeciwstawić trzeba prawdę. I zrobić wszystko, aby poznały ją i mogły w nią uwierzyć miliony. Zajęte już zostały wsie i miasta niemieckie. Będzie ich coraz więcej. W każdym powinna zacząć się akcja propagandy uświadamiająca o przyczynach wojny, jej przebiegu, a przede wszystkim o zbrodniach niemieckich, popełnionych w krajach okupowanych, a także o wewnętrzno-niemieckich oszustwach (np. afera K.D.F. samochodów). Najlepszych dowodów dostarczyli sami Niemcy. Dowody te muszą towarzyszyć każdemu wymiarowi kary, każdej egzekucji czy odszkodowaniu i wysiedleniu. Wprowadzone w krajach okupowanych przepisy hitlerowskie zamiaści podlegać natychmiastowej likwidacji powinny przez pewien czas służyć właściwym gospodarzom przeciw ludności niemieckiej. Również z dowodami

Die Schuld am Kriege

ES IST GRUNDFALSCH, DIE SCHULD AM KRIEGE VON DEM STAMPUNKTE AUS ZU ERÖRTEREN, DASS NICHT NUR DEUTSCHLAND ALLEIN VERANTWORTLICH GEMACHT WERDEN KÖNTE FÜR DEN AUSBRUCH DIESER KATASTROPHE, SONDERN ES IST RICHTIG, DIESE SCHULD RESTLOS DEM GEGNER AUFZUBÜRDEN, SELBST WENN DIES WIRKLICH NICHT SO DEM WAHREN HERGANGE ENTSPROCHEN HÄTTE...

„Mein Kampf”, s. 290



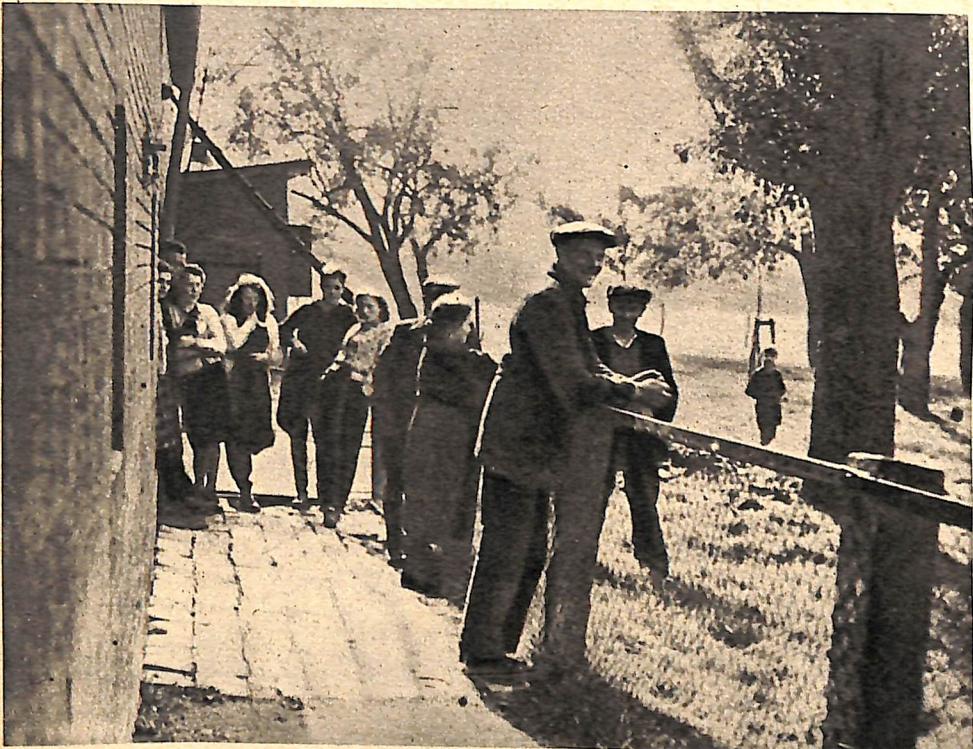
Rozwieszony w takim Toruniu plakat niemiecki z 1939 roku, nakazujący Polakom schodzenie na jezdnię, a zastawianie teraz wobec Niemców byłoby lekcją pokazową i na pewno pedagogiczną. Nie chodzi tu o akcję odwetową, ale — wychowawczą. Instrumentu, najlepszego instrumentu nie brakuje, niestety w tej akcji: jest nią naga, tragiczna prawda postępowania niemieckiego. Rozumieją to najlepiej narody — jak Polska — bezpośrednio nim dotknięte i ciężko zranione, one też powinny mieć swój udział w całości postanowień, dotyczących życia powojennych Niemiec. Powinny, ale — zdaje się — nie mają...

Wychowawcze nie są w każdym razie idylliczne sceny pierwszych spotkań żołnierza sojuszniczego z mieszkańcami zachodnich Niemiec, skwapliwie fotografowane. Rozumiemy, że Niemcy mogą być niedojedzeni, bo kosztem ciemiężonych narodów głodni nie byli, pojmujemy też żołnierza angielskiego czy amerykańskiego, udzielającego im swej porcji. Ale wiemy również, iż stosunek „rodziny” do ludności niemieckiej dać może tylko jeden wynik: lekceważenie i poczucie własnej siły, a ich słabości. Niemcom imponuje zawsze tylko — siła. Przyjaznego, serdecznego stosunku zwycięzców do zwyciężonych nie pojmą nigdy!

Czy wierzysz o tym wkraczający do Niemiec żołnierz Sojuszników, czy na podstawie rzeczywiste uzgodnionych instrukcji zachowują jednolitą postawę, w każdym razie nie — przyjacielską?

TADEUSZ PNIEWSKI

Mieszkańcy wsi niemieckiej patrzą z ukosa na wkraczające oddziały sojusznicze



Do następnej klasy...

Był maj. Przez mleczne szyby gimnazjalnych okien wpadało wiosenne słońce kładąc się białymi plamami na podłodze, ławkach, tablicy i katedrze. Klasa huczy brzęczącym ułem. Dawno już po dzwonku, lecz że belfer nie nadszedł jeszcze, moinie ma to już znaczenia. Za kilka dni koniec roku szkolnego, cenzury, promocje, wyjazd na wakacje i adiu Fruziu ze szkołą Nareszcie, lała dzień, skończy się z mora szkolnej - mordęgi, uczniowskich obowiązków. Precz ciśnięcie się gimnazjalną czapkę, mundur i tornister wraz z arsenałem zeszytów, książek, piór, ołówków, cyrkli i linia-czętych w dniu pierwszym września — inauguracji roku szkolnego. Skończy się zbiórki, klasówki, ranne o świcie wstawania, srogi wzrok profesorów, kary, zakazy i łaskawe zezwolenia na każde „czy mogę wyjść do ubikacji”. Teraz, za murami szkoły, którą opuścisz na ileś tam miesięcy, a nikt w tej chwili nie oblicza na ile — czeka cię wolność, swoboda, wesele, błękit nieba i wody, złoto zbóż i słońca, zieleność łąk, lasów i pełnia bujnej młodości.

Radość szkoły po brzegi wypełnia bielony sześcian klasy i przelewa się poprzez mury budynku na skąpane wiosną ulice Warszawy. Cieszą się nie tylko chłopcy, — rozbrzykane ludzkie zrebięta, ale wszystko wokoło. Czarna klepsydra tablicy szczęśliwa jaśnieje jak srebrne zwierciadło, atrament w kałamarzach jest dziś wyłącznie po to, byś nim nieskończenie wypisywał imię swej najukochańszej ze wszystkich na całym Bożym świecie pensjonarek i rysował serce przebite strzałą. Nawet rozwieszono na ścianach mapy tańczą, beztrudno kolebiąc się na sznurkach.

Wszyscy cieszą się. Wszyscy, — tylko nie ja. Ja bowiem przeczuwam, że nie otrzymam promocji, że zostanę na drugi rok w tej samej klasie, że mnie „obleją”. Siedzę w ławce smutny, przygarbiony. Wokół mnie przelewa się Niagara radości. Jeden przez drugiego, pokrzykuje i nie słysząc się wzajem, opowiada co zrobi po ostatnim dniu szkolnym. Ten pojedzie na wieś, ten w góry, inny nad morze. Walczakowi, jeśli przyniesie dobre świadectwo, stryj obiecał rower. Ostre koło, półwyścigówka na cynglach. Lesiewicz dostanie aparat fotograficzny z migawką na jedną tysięczną sekundy! Ty kapujesz? Na jedną tysięczną! Nurczyński pojedzie do majątku chrześniach, gdzie ma konia, kajak i dubeltówkę. Węgrzyn z ojcem wybiera się do Paryża. Ja...? Bo ja wiem, pewnie też jakoś lato przeżyję, tylko że już nie tak samo, jak oni.

I nagle wszyscy moi koledzy, nawet ci najbliżsi, z którymi przez tyle czasu znosiłem wszelkie trudy i kłopoty, stali mi się obcy i dalecy. Dzieliła nas teraz radość. Radość, która była już wyłącznie ich radością, i smutek, który był jedynie moim. Niektórzy z nich podchodzili wprawdzie do mnie ze słowami otuchy. Usiłowali pocieszać, że nic jeszcze przed ostatnim końcem roku nie wiadomo, a w ostatniej chwili może się jakoś odmieni i wszystko będzie dobrze. Mówili jednak bez przekonania, jedynie, że nie życzyli mi źle i milej by im było, gdybym śmiał się wraz z nimi. Lecz właściwie smutek mój — był im obojętny. Zbyt pełni byli szczęścia, by mogli czymkolwiek przejąć się. Ich głosy współczucia brzmiały pusto i wymuszenie, a gdy ścisnąc mi ręce mówili: „nie martw się bracie”, dawali ujście jeno własnej radości, że moja troska ich ominęła. A zresztą — nawet i nad tym się nie zastanawiali.

Tego dnia po lekcjach wyszedłem sam. Z opuszczoną głową i kamieniem na sercu. Teczka z książkami ponad siły ciążyła mi bezużytecznym brzemieniem. Szedłem szarą ulicą Koszykową, która wąskim strumieniem wlewa się w radosne Ujazdowskie Aleje. Zwykle wracając ze szkoły zdążałem wtedy wraz z kolegami, dziś każdy przepełniony własnym szczęściem, zajęty jest wyłącznie sobą. I nagle, wspomniłem, że gdy pewnej nocy rozległ się czyjś rozpaczliwy krzyk w pobliskiej kamienicy, z naszego domu nikt nie pospieszył na ratunek. Ja, zły, że wyrwano mnie ze snu, gdy z rana muszę wstać do szkoły, nakryłem głowę koldrą. Dozorca nie ruszył się z barłogu mrucząc, że nie jest „policją”, a zbudzony w sąsiedztwie doktor oświadczył, że od tego jest pogotowie i on, jako lojalny członek izby lekarskiej, nie może wchodzić w kompetencje dyżurnego kolegi. Nie wiem czemu, lecz na owo wspomnienie zawstydziłem się. Choć przecież także nie byłem „policją”, ani pogotowiem.

Szedłem powoli, żując piołun smutku. Wiosnę, słońce, swobodę lata wolnego od twardego obowiązku widziałem pokryte czarnym, żałobnym welonem, a najbardziej przykre chwile przeżytych dni wydały mi się miłsze od oczekującego mnie wypożyczku. Mówiono mi, że gdy będę pilny i pracowity, to także otrzymam nagrodę. Nawet dostanę więcej niż sam się spodziewam. Starłem się nie tylko dla obiecanych upominków, właściwie chciałem jedynie słusznej oceny moich umiejętności i uznania mej pracy, a tymczasem teraz, w końcowym wyniku wypisywania świadectw... Przecież nie podobna, żeby cały mój tak olbrzymi, serdeczny wysiłek miał pójść na marne. Stąpałem słoneczną Aleją Ujazdowską, seledynową zielonością olbrzymich kasztanów, pachnącą fioletem bżów wychylających swe okiście z Botanicznego ogrodu. Od strony Belwederu, jak zapalona zapałka strzelił i śmignął czerwony tramwaj, pełen roześmianych dziewcząt w granatowych, szkolnych beretach. Stały na pomoście wesołe, szczęśliwe, ładne. Szedłem obcy wszystkim, nawet samemu sobie i robiłem rachunek sumienia. Właściwie czym zawiniłem i ile razy, że mnie tak potraktują, gorzej od innych. Wszyscy otrzymają promocje i z ulgą odetchną po męczącym okresie szkoły. Nawet Müller, krnąbrny, uparty, niekoleżeński, podający się za Austriaka, to znów za Ślązaka, ponury, mrukliwy, zawsze skory do bójki, chwylący się swoim celującym z niemieckiego, i Sedlaczek, Czech z pochodzenia, bęksa, łzami wypłakujący sobie znośne oceny.

Im wszystkim będzie lepiej, niż mnie. Czemu? Miałem przecież celujące wyniki z całego szeregu przedmiotów. Byłem pierwszy z historii Polski i z literatury. Szczególnie z poezji romantycznej. Z retoryki byłem najmocniejszy, a na godzinach dyskusyjnych często miałem rację. Kochałem przyrodę: botanikę i ornitologię. Cenił mnie nauczyciel gimnastyki, który najchętniej właśnie ze mną ćwiczył szable i florety i mnie pierwszego wstawił do ekipy międzyszkolnych zawodów szermierczych, a ksiądz prefekt Trepkowski, zawsze mnie stawiał wszystkim za przykład. Byłem kapitanem klubu sportowego „Błyskawica” i zastępowym drużyny harcerskiej imienia Henryka Dąbrowskiego. Starłem się, pracowałem, a mimo to... Co prawda, nie ze wszystkich przedmiotów byłem mocny. Szwankowała u mnie znajomość języków obcych, słaby byłem z logiki, z propedeutyki ekonomii społecznej i polityki społecznej, a choć świetnie znałem geografii, choć umiałem na pamięć wszystkie rzeki, miasta polskie i z zamkniętymi oczyma mógłbym wskazać na mapie ojczyste granice, z przedmiotu tego miałem niedostatecznie. Profesor nie darzył mnie sympatią. Nazywał się Igor Wasiljew, a gdy mówił — mocno przeciągał z rosyjska. I chociaż stale podkreślał, że jest polskim patriotą, rozgniewał się, gdy kiedyś oświadczyłem, iż mowa rosyjska, może piękna i melodyjna, dla mnie, jakoś dziwnie pachnie... dzięciem. Z zachowania i obyczajów także miałem słabe oceny. Mówiono o mnie na konferencjach pedagogicznych, że nie potrafię zachować umiaru: to jestem zbyt krytykły i zachłanny, to znów: zbyt cichy, potulny i ustepliwy. Raz w pochodzie międzyszkolnym chciałem maszerować w pierwszym szeregu, acz nie miałem najwyższego wzrostu, to znów kiedyindziej na zbiorowej fotografii skryłem się za plecami innych, pomiędzy woźnych i odźwiernego, że dostrzec nie było mnie można. Raz byłem dumny i napsuszony, to znów skromny i nieśmiały. Czyniłem to bezwiednie, nie przypuszczając, że właśnie na takie drobnostki inni tak bacznie zwracają uwagę.

Brak umiaru. Chyba jedynie to... bo ja wiem... Starłem się przecież od początku roku szkolnego, od pierwszej chwili: byłem pilny, pracowity, uczynny i koleżeński. Nie bacząc na represje, pozwalałem odpisywać moje klasowe prace, często brałem kolegów ich zbyt trudne dla nich zadania, za które oni otrzymywali później pochwały. Robiłem to bezinteresownie i oczywiście bezimiennie. W przerwach rekre-

acyjnych, gdy widziałem, że kogoś biją, rzucałem się z odsieczą w wir bijatyki w obronie napastowanego, pomimo, że gdy raz napadła na mnie prawie cała wyższa klasa silniejszych, mało kto ujął się za mną... Och! daleki byłem od myśli, że jestem idealny i święty, że należy mi się pierwsza nagroda prymusa. Miałem sobie wiele do zarzucenia wiedząc, że często nie byłem taki, jak należało. Ale czemu uznano mnie za aż tak gorszego od innych? Wszyscy otrzymają promocje, gdy mnie grozi powrót do poprzednich dni wrzesniowych i rozpoczęcie od początku.

Szedłem i rozmyślałem... Byłem wówczas jeszcze małym chłopcem, uczniem gimnazjum, miałem dom, rodzicielstwo, rodziców, a Warszawa była w kwiatkach, nie w ruinach. Było to dawno temu. Tak dawno i tak daleko, że myślę czasem, iż może w ogóle nigdy tego nie było naprawdę, jeśli nie we snach lub w poprzednim życiu. Jakże wiele od owych dni upłynęło lat, jak wiele się od owych czasów zmieniło.

Jest wieczór. W barze, na zawrotnie piętrowych krzesłach, siedzę wraz z kilkoma przyjaciółmi. Kurzy nam się z czupryn dokładnie, jako że barman w śnieżnym kitlu nie zapomina o nas, fruując nad rzędem naszych szklanek, niczym biały motyl pijafstwa nad przezroczymi kielichami kwiatów. Rozmawiamy oczywiście o polityce, o ostatnich wydarzeniach i nadchodzącym zwycięskim końcu wojny. Bil, monter z Texas z wielkim inicjałem litery „T”, na kawowym rękawie fasowanej koszuli, hałasuje niczym szczęśliwy sztabak:

— Hurra! Jak tylko przeczytam, że wojna skończona — woła szukając po kieszeniach paczki z Camelami — to na Placu Opery zrzucam z siebie wszystkie wojskowe fuchy i goły, jedynie w krawacie i niebieskich okularach, przebiegnę na przełaj przez miasto...

— Na mnie czeka moja farma pod Brisbane — mówi Connie, Australijczyk — dwa lata już nie byłem w chałupie, a zostawiłem tysiąc siedemset trzydzieści owiec i żonę, która mi pisze, że ma już dosyć mojej wojny i żebym wracał. Przyjedziesz do nas na lato, prawda? Zapraszam cię! — Wielką łapą poklepał mnie po plecach, że aż zadudniło mi w płucach.

Troskliwy barman, w obawie, by nie zaschło nam w gardle przechylił kanciastą butelkę nad cylindrami opróżnionych szklanek i pełną po brzegi niedopałków popielnicę, zastąpił inną.

Mac Turner — szkocki bosman jekiegoś HMS, w powodzi spontanicznych „fakenów” nad szwabami wyjaśnia, że ma w ojczyźnie dziewczynę i nazajutrz po wojnie jedzie do niej, by ją poślubić, a Jean z lotaryńskim krzyżem wolnego Francuza obiecuje mi w dniu zawieszenia broń takie szampańskie pijafstwo, że ho, ho!

Pożegnałem kompanię obcych mi przyjaciół i wyszedłem. Sam, w ciemności obojętnej nocy egzotycznego miasta. W poświacie miedzianej pełni księżyca, zawieszono nad ziemią jak fryzjerska blacha nad zakładem golibrody, wiślanym nurtem płynął rozszerebrzony Nil.

Szedłem żując piołun smutku, dziwnie podobny do goryczy owych dni, gdy pomimo wysiłków, zalet i zdolności przeczuwałem, że nie przejdę do następnej klasy.



W chwili obecnej w dyskusjach nad sytuacją Polski mówi się o dwóch poglądach: biologicznym i historycznym.

Zwolennicy poglądu biologicznego stoją na stanowisku, że naczelnym nakazem chwili jest ratowanie biologicznej substancji narodu polskiego. Pogląd ten wywodzi się z niezmiernie pesymistycznej oceny naszych możliwości i redukuje aspiracje i prawa narodu do minimum. Ponieważ nie mamy sił, aby przeciwstawić się takiej, czy innej formie agresji, trzeba uczynić wszystko, by jak najmniej utracić z biologicznego rezerwuaru. Nasze aspiracje i ambicje historyczne — mówią reprezentanci omawianego poglądu — przynosiły w rezultacie same klęski. Jako typowy przykład supremacji „historii” nad „biologią” cytuje się w tych kołach powstanie z roku 1863. Ekspansja rosyjska zagraża nam unicestwieniem, należy zatem pójść na kompromis, na ustępstwa, aby ratować biologiczne jądro narodu. Trzeba więc odrzucić cały „historyczny balast” i jak najdokładniej przygiąć karku do ziemi, aby owa burza jaka ma przejść nad nami, nie pogruchołała nam całkowicie kości. Zwolennicy „biologicznego” poglądu nawołują do trzeźwości i redukcji ambicji historycznych. Sądzą, że są twórcami jakiegoś nowego pozytywizmu i „organicznej pracy u podstaw”.

Spróbujmy obiektywnie rozpatrzyć i przeanalizować tok myśli owych „biologów”. Pogląd ten w pierwszym rzędzie jest ucieczką od polityki. Biologia nie jest polityką, natomiast polityka jest wyrazem m. in. również biologicznej siły narodu. Pogląd ów mógł zrodzić się jedynie w mózgach ludzi załamanych, ludzi nie wierzących w żywotność i sens istnienia narodu polskiego. Odcięcie się od historii jest równoznaczne z negacją doświadczeń, jest równoznaczne z degradacją politycznie uświadomionego, starożytnego narodu do rangi biologicznej miazgi ludzkiej bez żadnego wykładnika politycznego i ideowego. Ludzie ci mylą się, sądząc, że naród polski może istnieć i trwać, jak Łużycanie, czy inne zamierające plemię. Tak nie jest. Naród polski albo będzie nadal historycznym narodem, realizującym swe polityczne cele — albo nie będzie go wcale. Nie ma trzeciej ewentualności.

U podstaw owego „biologicznego” rozumowania leży fatalne niezrozumienie naszych dziejów. Biologia nie jest i nigdy nie była naszą najmocniejszą pozycją. Nasze położenie geopolityczne jest jednym z najmniej korzystnych w Europie. Jeżeli los nasz zaczniemy rozpatrywać wyłącznie pod kątem widzenia biologii i położenia geograficznego, to istotnie dojdziemy do najczarniejszych wniosków. Polska leży między Rosją a Niemcami, przy czym każde z tych państw jest znacznie potężniejsze od nas. Biologicznie jesteśmy mniej prężni od Rosji, a przyrost naturalny małaś u nas już przed wojną, mimo, że ciągle jeszcze był dość wysoki. Opierając się zatem jedynie na tych dwóch cyfrowych kryteriach: terytorium plus bilans ludnościowy, trzeba by do przekonania, że nie pozostaje nam nic

Uciecrka od polityki - ucieczką od życia

innego, jak wejść ulegle i bezkrawo w polityczną symbiozę z jednym z naszych potężnych sąsiadów.

Przedstawiciele poglądu „biologicznego” mieliby całkowitą rację, gdyby pojęcie narodu wyczerpywało się sumą tych dwóch elementów: terytorium plus ludność. W rzeczywistości jednak naród tym różni się od politycznie bezpostaciowej miazgi ludzkiej, że łączy go i spaja nie tylko wspólnota terytorialna, lecz przetrwanie i wspólność celów i dążeń politycznych. Jak długo nie ma pełnego uświadomienia poczucia wspólnoty historycznej, jak długo nie ma świadomości wspólnoty celów i dążeń politycznych, tak długo nie można mówić o narodzie, a co najwyżej o takiej, czy innej grupie etnicznej.

Z mnogości czynników, które składają się na pojęcie narodu, element terytorium i element biologiczny wcale nie są najważniejszymi. Weźmy takie dwa kraje i dwa narody, jak Anglia i Chiny. Inne wartości, a nie terytorium i biologia, zdecydowały, że Anglicy są twórcami wielkiego światowego imperium i zgromadzili w swych rękach olbrzymią potęgę i bogactwa. W porównaniu z Chinami Anglicy są małymi i biologicznie słabym narodem, a rozwój swój zapoczątkowali na małej, przez wieki nic nie znaczącej wyspie.

Biologia ustępuje polityce. Naród świadomy swych celów, dynamiczny i młody nie żałuje krwi, by realizować swe słuszne i sprawiedliwe cele polityczne, z których pierwszym i zasadniczym jest niepodległość państwowa. Poczucie nadrzędności celów państwowych i narodowych nad celami jednostki, czy grupy, jest najważniejszym elementem pojęcia: naród państwowy.

Patrząc na mapę Europy każdy obiektywny obserwator dojdzie do wniosku, że na kontynencie nie ma miejsca dla biologicznie vegetujących Polaków. Ta sama karta Europy powie nam, że albo będziemy politycznym, aktywnym narodem, pełniącym jedną z naczelnich funkcji kontynentu — albo staniemy się biologiczną miazgą, którą wchłoną Niemcy i Rosja. Innymi słowami, nie terytorium, nie biologia nas uratują, lecz o wielkości naszej, czy upadku zadecyduje polityka, nasza polityka.

T. zw. pogląd biologiczny jest czymś więcej, niż kapitulacja — jest rezygnacją. Jest to bezradne rozłożenie rąk załamane go człowieka. Co jednak najbardziej

zdumiewa w tym poglądzie, to zupełne niezrozumienie historycznego abecadła polskości.

Przybyszowi z innej planety byłoby bardzo trudno wytłumaczyć, jak się stało, że Polska, leżąca między Rosją a Niemcami nie uległa na przestrzeni tysiąca lat wchłonięciu przez obie te potęgi. Z wielu plemion słowiańskich, po których zostały tylko mogiły i cmentarzyiska, jedni Polacy w Europie środkowo-wschodniej stali się budowniczymi politycznymi na wielką skalę, współtwórcami organizmu europejskiego. Upadek Rzeczypospolitej, która stanowiła jedno z zasadniczych ogniw systemu kontynentu, przyniósł w konsekwencji proces zaburzeń, wywołanych zwinięciem naturalnej równowagi europejskiej i w sumie cykl wojen światowych, z których drugą przeżywamy.

Historia europejskiego „balance of power” jest polską historią. Rozbiór Polski przesunął punkt ciężkości Rosji w głąb Europy. Usadnienie się Rosjan nad Wisłą stało się sygnałem ogólnych zbrojeń. W pierwszym rzędzie zaczęły zbroić się Prusy, które w r. 1859 miały już dwukrotnie większą armię jak w r. 1831.

„Pośrednim i dalekim, lecz istotnym — jak nazywa je Lord Eversley — następstwem rozbiórów Polski był wyścig zbrojeń w wieku XIX ukoronowany pierwszą wojną światową”. Wniosek, jaki stąd wypływa, jest jasny: istotą Europy jest naturalna równowaga sił. Nie ma tej równowagi bez Polski. Bez niepodległej Polski można skłębic takie czy inne Monachium, które jest zawsze wstępem do wojny.

Polskiej myśli politycznej nie potrzeba ad hoc stwarzać, ani improwizować. Wypływa ona z historii europejskiej. Wywodzi się z faktu, że jesteśmy współtwórcami i współorganizatorami europejskiej wspólnoty narodów. Co więcej, jesteśmy z tą dziejową, polityczną instytucją związani na życie i śmierć. Istniejemy z Europą i upadamy z nią razem. Znaczenie Polski w środkowo-wschodniej Europie jest równie wielkie i istotne, jak Francji na zachodzie i południu.

Nic nam nie pomoże „biologia”, nic nam nie pomoże uległość, nic nam nie pomoże kompromisowość — nic nam nie pomoże próba szukania dla siebie miejsca w takim układzie, który jest zaprzeczeniem Europy i jej antytezą. Związanie się Polski z Rosją lub Niemcami jest rezygnacją z naszej roli współtwórczej w Europie — jest przyłożeniem ręki przez

nas samych do zniszczenia równowagi sił, od której zależy byt naszego państwa i narodu — jest politycznym i biologicznym samobójstwem. Nie możemy być współbudowniczymi układu politycznego, w którym nie będzie dla nas miejsca i równocześnie wzmacniać obóz antyeuropejski, obóz który dąży do realizowania politycznych celów w stu procentach sprzecznych z polską racją stanu.

W rzeczywistości pogląd „biologiczny” jest poglądem nihilistycznym. W imię ratowania substancji narodu reprezentanci tego poglądu gotowi są do wejścia w systemat polityczny, dążący do zniszczenia naturalnej równowagi kontynentu.

Być może, że kiedyś Europy nie będzie. Być może, że kiedyś step azjatycki pokryje ten mały cypel kontynentu, który jest ojczyzną narodów europejskich. Wiele wspaniałych cywilizacji i państw pokrył piach pustyni. Jedno jest pewne. Nie przeżyjemy Europy. Polska żyje i upada z Europą — to jest jej los i wielkość.

Anglia jest najbardziej na zachód wysuniętym państwem europejskim, a my najbardziej na wschód. Niewątpliwie jednym z najpozytywniejszych osiągnięć naszej myśli politycznej w okresie niepodległości jest nasz sojusz z Wielką Brytanią. Polska i Anglia poniosły bodaj największe ofiary w tej wojnie w obronie Europy. Polska i Anglia są wrogami hegemonii i ich racje stanu wymagają pełnej realizacji naturalnej równowagi sił w Europie. Jest rzeczą naturalną, że nasz sojusz z Anglią uważamy za nasz sojusz nr 1, za układ podstawowy, według którego orientowaliśmy nasze działania na terenie międzynarodowym w czasie tej wojny. Sojusz ten uważamy za kardynalny warunek pomyślnego ułożenia się naszej sytuacji w przyszłości.

Pragniemy poprawnych stosunków z Rosją, ale nie chcemy znaleźć się w orbicie jej wpływów politycznych czy kulturalnych. Przynależymy do świata Zachodu — świata innego niż rosyjski — i pragniemy nadal pozostać państwem kultury i myśli zachodniej.

Nie można kazać płynąć rzece od morza ku źródłom. I czy się to komuś podobą czy nie, miejsce Polski jest wyłącznie i jedynie w koncercie państw zachodnio-europejskich, w sojuszu z Anglią i w związku narodów Międzyczmorza. Wyjście z orbity Zachodu nie jest żadnym „biologicznym ratunkiem” — lecz kapitulacją i śmiercią.

Juliusz Mieroszewski

PRZEGLĄD PRASY

ZATRUTE ŹRÓDŁO

W piątą rocznicę wojny, 1-go września w Warszawie powiewały flagi polskie. Po pięciu latach stolica ujrzała znów żołnierza polskiego, walczącego w jej obronie; znów odezwała się polska rozgłośnia Warszawy, raz jeszcze — jakże podobnie — apelująca do całego świata. Ciągące się od 1-go sierpnia walki w Warszawie okupione są tak wielką ofiarą narodu polskiego, a możliwe tylko dzięki tak mocnej u niego woli walki, że mimo wszystko wstrząsnęły sumieniem świata. Odezwała się prasa: nawet ta, która jeszcze niedawno skazywać nas chciała na pomoc i dobrą wolę Sowietów dzisiaj przytacza „sprawę Warszawy” jako tragedię, jako groźbę dla jedności sojuszniczej w okresie, kiedy wojna się kończy, a zaczyna walka o pokój.

Brytyjski „TIME AND TIDE” wykazując nieprawdziwość sowieckich argumentów, uzasadniających odmówienie Warszawie pomocy, tych „niecnych u-

siłowań pomniejszenia powstania i zdyskredytowania Armii Krajowej”, tak m. in. pisze o głośnym rozkazie Wodza Naczelnego gen. Sosnkowskiego.

„Rozkaz gen. Sosnkowskiego nie jest rozkazem polityka, a tym mniej dyplomaty. Jest oświadczeniem patrioty i żołnierza, dowódcy wojsk, którym nie mógł pomóc... W istocie swej jest to krzyk serca i musiał znaleźć gębokie echo w sercach żołnierzy Armii Krajowej oraz tych, którzy lojalnie walczą ramię w ramię z sojusznikami we Francji i Włoszech. Niewątpliwie więc zrozumiała jest ta jego i ta jego szczerość. W takich czasach pierwsza myśl Wodza Naczelnego musi być przy żołnierzach w Kraju, którzy oczekiwali od niego nie mniej mocnego realizmu w ocenie ich sytuacji. Usiłowania zrzućenia odpowiedzialności za większy rozłam wewnątrzno-polski wtańnię na rozkaz Naczelnego Wodza mają swe źródło w pobożnych życzeniach tych ludzi, którzy nie wstydzą się wyko-

rzystywać lada pretekstu dla swych celów, dla pogorszenia istniejących już rozbieżności polskich...”

„Taka to chmura wyptywa z nad ruin Warszawy, zaciemniając słoneczny skądinąd horyzont, — wstydliva świadomość, że tym dzielnym sojusznikom przyjdzie zginąć”.

Wychodząca także w Londynie „TRIBUNE” w jednym zdaniu ujmuje wy-nik znanego ustosunkowania się Sowietów do walk w Warszawie:

„Polityczne żonglowanie — sytuacją przez „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego” oraz prasę sowiecką zaszkodziło więcej dobremu imieniu Związku Sowieckiego, niż cokolwiek przedtem od czerwca 1941 roku”.

Również według amerykańskiego pisma „HERALD TRIBUNE” powstanie w Warszawie okazało się prawdziwym prawdziwym zamiarów Sowietów. Pomoc okazana stolicy Polski — pisze major G. F. Eliot — „mogłaby wymownie zapewnić o przyszłej szczerości polsko-rosyjskich stosunków, niż wszystkie deklaracje, składane przez sowieckie ministerstwo spraw zagranicznych, niż wszystkie artykuły, jakie prasa rosyjska może jeszcze napisać aż do sądnego dnia”.

Pismo wyrażając nadzieję, że rząd polski w oswojonej Warszawie będzie rządem prawdziwej jedności narodowej, który uznać będą mogły z za-

ufaniem wszystkie Zjednoczone Narody, stwierdza, że — „żaden rząd amerykański nie może dopuścić, aby w jakikolwiek sposób kwestionowano istnienie silnego, bezpiecznego i niepodległego państwa polskiego”.

„NIE JESTEŚCIE SAMI”

W prasie amerykańskiej szczególnego rozgłosu doznała rezolucja Komitetu Wykonawczego Amerykańsko-Polskich Związków, ogłoszona w piątą rocznicę wojny. Pomoc Warszawie jest zadaniem sojuszników Polski — stwierdza rezolucja. Dlatego:

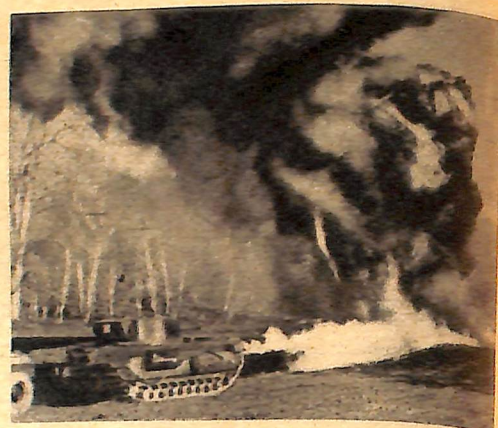
„Wzywamy naród amerykański, aby zabrał głos w obronie bohaterstwa Warszawy. Domagamy się od naszego rządu zwiększenia pomocy płynącej do Warszawy oraz interwencji w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu dla uratowania miliona kobiet i dzieci warszawskich przed zniszczeniem. W piątą rocznicę wojny niech Ameryka powie ciężko doświadczonemu ludowi Warszawy: „Nie jesteście sami i nie będziecie zapomniani”. A naszym sojusznikom rosyjskim powiedzmy: „My, którzy przesyłamy pomoc Rosji, przez pół świata i wielkim kosztem, żądamy teraz od was pomocy dla Warszawy, tak niedalekiej”. Jeżeli Rosja nie zrobi tego sama, nie może przeszkodzić W. Brytanii i Ameryce w wypełnieniu swych zobowiązań wobec sojusznika polskiego”.



„Wasp”, carrier-miotacz ognia



Żołnierz brytyjski z miotaczem ognia typu „Life-buoy”



Brytyjskie miotacze ognia

Wojska brytyjskie walczące we Francji zostały wyposażone w specjalne miotacze ognia, znacznie przewyższające miotacze niemieckie. Zamieszczone obok zdjęcia przedstawiają trzy ostatnie typy tego rodzaju broni: carrier-miotacz ognia, szybki, zwrotny, niezawodny w pościgu. Carrier ten nazwany został: „Wasp” czyli osa. Miotacz ognia specjalnych oddziałów angielskiej piechoty jest to broń ręczna. Żołnierz kieruje ogniem mając zbiornik z paliwem na plecach. Typ ten nazwano „Life-buoy”, ponieważ wyglądem przypomina koło ratunkowe. Najpotężniejszy jednak jest typ trzeci: Krokodyl. Jest to miotający płomień czołg, którego zasięg ognia ma 150 jardów.

„Carved Chessmen given to Field Marshal Smuts from Poles” — stanowią dumę Muzeum Wojskowego w Johannesburgu. Siłą wzbudzonej atrakcji eksponat ten usunął w cień głowę Mussoliniego z Harar — brąz — zdobytą w kampanii abisyńskiej i przywiezioną do ojczyzny przez „Springboków”. Poza tym owe „rzeźbione szachy, ofiarowane przez Polaków”, podwoiły udział polski w stanie posiadania muzeum. Nieco wcześniej zapoczątkował go, wykonany kredką portret, o którym mówi objaśnienie: „Drawn by corporal A. Szołomiak of the Polish Contingent in the Union and presented to Field Marshal Smuts by leaders of the Polish Community”.

Samo muzeum jest dopiero w początkach. Założono je przed czterema laty z myślą o kultywowaniu tradycji młodej wojskowości Unii. Patronuje temu wysiłkowi Pierwszy Żołnierz Afryki Południowej i zarazem żywe ucieleśnienie jej wojskowych ambicji, Marszałek Jan Krystian Smuts.

Pewne rojenia polskie skrytykowały się dookoła myśli wyposażenia muzeum w „dział polski”. Obudzone na tym tle ambicje znalazły nadto ujęcie szersze i bezpośredniejsze. Pokażna liczba „poloników”, miast trafić do gablotek i na ściany muzeum, „zabłądziła” nie tyle „pod strzechy”, ile do solidnych domów, początkowo dziesiątek, z czasem setek rodzin kraju, który po raz pierwszy zetknął się z Polakami, z ich, tak niełatwą do pojęcia „sprawą”.

Od dwu lat przez szpitale wojskowe w Południowej Afryce przesuwają się żołnierze polski, któremu losem wojennym wytracony został z rąk karabin, czasowo lub na zawsze. Z górą tysięcy chorych, niejednokrotnie wymagających do dwu lat leczenia, często kalek cudami nowoczesnej chirurgii mozolnie preparowanych do przyszłego życia, znalazło się w kraju, w którym o Polsce niczego nie wiadano.

Żołnierz, przybyły nie jako propagandysta lecz jako pacjent, przykuty do łóżka, w swobodzie ograniczony regulaminem szpitalnym i wymaganiami leczenia, dysponując zaledwie jakimś saldem normalnego wysiłku — żołnierz ten zdobywa się na czynną postawę wobec nowego i tak bardzo odmiennego otoczenia. Osobistym walorem, uzdolnieniami przeciętnie dużymi, nieposkromioną prężnością duchową, potrafił on ruszyć z miejsca i dźwigać radosny trud rozgłaszania Polski.

Przoduje na konkursach swą zdolnością i zręcznością rękodzielniczą, odczuciem artystycznego piękna; bierze nagrody na wentach i kawalkadach. Setki domów przyozdabia ściany artystycznie wykonanymi Orłami Polskimi, wzbogaca swój inwentarz ręcznie malowanymi pejzażami polskimi, skórzanymi torebkami, albumami, ramkami z motywami zdobnictwa polskiego.

Lady Duncan, małżonka niedawno zmarłego gubernatora Południowej Afryki, wielka opiekunka żołnierzom, dokonuje otwarcia „Occupational Therapy” w największym szpitalu imperialnym. Polacy wręczają jej talerz zakopiański, bogato rzeźbiony, oraz pięknie oprawny album, zawierający 12 ręcznie malowanych widoków polskich, w tej liczbie widok zburzonej Warszawy. „Pierwsza Dama Dominium” zatrzymuje uwagę swą na obrazie zburzonej Warszawy, zapewnia, że przyjmuje dar jako „najdroższą pamiątkę”.

Był sobie komendantem wspomnianego szpitala ppłk. Ferguson, jak się okazało Szkot z pochodzenia. Wymacali więc nasi, że w roku Pańskim 1617 Szkot nazwiskiem Ferguson, przybył do Polski, żeby walczyć z Moskwą. Z miejsca więc uznano południowo-afrykańskiego eskulapa, jeśli już nie potomkiem w prostej linii, to conajmniej powinowatym szlachetnego rycerza z czasów Zygmunta Wazy. A ponieważ był to czas Wielkanocy, posą-

Wręczenie szachów Marszałkowi Smutowski — od prawej Minister dr Łepkowski, Marszałek Smuts, Wicekonsul Armin, dr Surzyński, polski lekarz łącznikowy oraz delegacja żołnierzy: sierżant Gładysz, strzelec Szczepański i kapral Baranowski



Tłoczono w Zakł. Graf. AL-HILAL w Kairze dla Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F. Printed in Egypt by AL-HILAL, Cairo, for Joint Publications Directorate, G.H.Q. M.E.F.

POLSKIE SZACHY i Marszałek SMUTS

dzonemu o tak świetny w oczach Polaków rodowód lekarzowi, ofiarowano pół tuzina wzorzystych polskich pisanek na rzeźbionej misie. Obok laurka ze scenami dyngusa i święconego. Więc ksiądz w komży święci stół wielkanocny, a brać szlachecka czeka z pucharami w dłoniach i rycerz szkocki Ferguson wśród niej.

Wreszcie nadchodzi dzień 10 stycznia 1944 roku. Nazajutrz tradycyjnym „Białym Pociągami” rząd Unii, uda się z Pretorii do Capetown, na półroczną sesję parlamentarną. Posiedzenie Rady Ministrów, naznaczone jest na piętnaście minut po godzinie dziesiątej. Przedtem w Pałacu Unii, siedzibie rządu, na kilkunastominutowej audycji, premier Smuts przyjął ma delegację żołnierzy polskich, którzy ofiarują mu rzeźbione szachy.

Delegacja z polskim lekarzem łącznikowym na Południową Afrykę Dr. L. Surzyńskim na czele, prezentowana przez Ministra Dr. St. Łepkowskiego, Konsula Generalnego R. P. w Pretorii i wicekonsula K. Armina z Johannesburga, oraz grupa operatorów filmowych i fotoreporterów, otacza stół z szachownicą, na której w oryginale ustawiono figury szachowe. W skład delegacji żołnierzy wchodzi: rzeźbiarz strz. Szczepański, twórca szachów w benedyktyńskim ośmiomiesięcznym mozole, sierż. Gładysz malarz i grafik, oraz kpr. Baranowski specjalista w artystycznym wyrobniactwie skórzanym.

Reporterzy rozstępują się, Marszałek podchodzi do delegacji.

Przemówienie lekarza łącznikowego jest krótkie. Stwierdza, że setki żołnierzy polskich doznało pomocy i przyjaznego przyjęcia w szpitalach oraz ze strony społeczeństwa cywilnego Południowej Afryki. Dodając, że szachy są dziełem pracy i talentu pacjentów oraz, że figury w sumie dają retrospektywny obraz rozwoju wojska polskiego z uwzględnieniem postaci wielkich wodzów polskich, mówca zakończył:

„My żołnierze polscy, którzy zaznaliśmy gościnności tego pięknego kraju, mamy nadzieję, że te „Polskie Szachy”, przyjęte zostaną jako skromny wyraz naszych uczuć wobec Pana, Panie Marszałku, jak i wobec społeczeństwa południowo-afrykańskiego”.

Smuts dziękuje za dar, który przyjmuje jako pamiątkę rodzinną. Audiencja wydaje się być zakończona.

Staje się jednak inaczej. Dr Surzyński bierze do ręki jedną z figur i prezentuje ją Marszałkowi z objaśnieniem:

— Król Jan Sobieski.

Smuts przypatruje się rzeźbie, ważąc figurkę na dłoni:

— Sobieski! Ten, który odparł Turków spod Wiednia. Wygląda naprawdę na króla!

I zwracając się do asystującego mu otoczenia:

— Dzięki Sobieskiemu jesteśmy tym, czym jesteśmy, jako naród kultury europejskiej. Nawet to, że jesteśmy tutaj w Południowej Afryce, zawdzięczamy temu polskiemu obrońcy Europy.

Podchodzi do szachownicy i podnosi figurę królowej Jadwigi.

— Wiem. Ta co wyszła za Jagiełłę i od której związku małżeńskiego zaczął się wasz „commonwealth”...

Szachy są naprawdę piękne. Cztery wieże na flankach — to Brama Floriańska, kościółek romański z X w. na Wawelu, baszta na Wysokim Zamku we Lwowie i baszta w Głogowie. Husarze z pod Wiednia i ułani ks. Józefa zajęli miejsca skoczków. Czterech hetmanów: Zamoyski, Czarniecki, Tarnowski i Chodkiewicz ze stanowisk laurów, odmierzają wybiegające ku nim szlaki pochodów do zwycięstw i klęsk. Z pola królewskiego Chrobry — jakby zdjęty z pomnika Różka, przed katedrą św. Wójciecha w Gnieźnie — ogarna wzrokiem miejsca bitewnych spotkań. Naprzeciw Sobieski z marsem zwieszono wąsa, wsparty na krzywej szabli. Wreszcie dwie królowe: Kinga, królowa polska podniesiona do wielkości świętej i Jadwiga, jedna z najznakomitszych kobiet w dziejach Europy.

Z kolei w podwójnym oryginale pionów zajęli miejsca: hucznik słowiański z VIII w., wojak z piechoty łanowej, szlachcic z pospolitego ruszenia, kosynier Kościuszki, powstaniec z 63 roku, legionista z pierwszej wojny światowej, piechur obrońca Warszawy ze strzaskanym karabinem i podniesioną, grożącą pięścią oraz lotnik polski z kampanii wrześniowej i bitwy o Londyn.

Smuts unosi w górę postacie królów i świętych, hetmanów i wojów wszystkich

- Str. 2: fot. British Ministry of Inform.
 - Str. 3 i 4: fot. Inż. W. Ostrowski
 - Str. 4: fot. T. Szumański
 - Str. 5: fot. Inż. W. Ostrowski
 - Str. 6: fot. T. Szumański
 - Str. 6 i 7: fot. British Ministry of Inf.
 - Str. 8 i 9: fot. U. S. Office of War Information
 - Str. 14: fot. British Ministry of Inf.
- Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

czasów oręża polskiego. Każda z rzucanych przy tym uwag, uderza znajomością słownej epoki dziejów polskich.

Ten statysta ma wygląd przynajmniej meża stanu — dowcipkuje, trzymając w jednej ręce figurę Czarnieckiego z okazywą brodą i drugą dotykając własnej. — Nie tak, jak dzisiejsi gołowi, wygoteni dyplomaci.

— Tacy przejechali się przez obóz Kara Mustafy, jak dywizja czołgów — wskazuje na uskrzydłonego husarza na spienionym bachmacie.

W końcu zatrzymuje się na niepozornej figurce żołnierza w owijaczach i maciejówce:

— A to jest żołnierz Wielkiego Piłsudskiego.

Marszałek umilkł, ważył coś w myślach.

— Nie mogę — zaczął mówić — nie mogę zatrzymać tego dla siebie. To jest rzecz za duża i wykonaniem artystycznym i rozległością myśli w sobie zawartej. To są symbole wielkości wojska polskiego i kierownictwa państwowego, symbole wielkiego, żywego narodu na przestrzeni wieków.

Za waszym przyzwoleniem, przyjmuję ten dar w imieniu mojego narodu i przeznaczam go dla Muzeum Wojskowego w Johannesburgu. Niech się na tych szachach, przyszłe pokolenia południowo-afrykańskie uczą dziejów i tradycji wielkiego, walecznego, o bogatej przeszłości historycznej narodu polskiego. Niech będą one śladem waszego tutaj pobytu i wspomnieniem braterstwa broni na polach bitew, świeżo zadzierżgniętego między żołnierzem polskim a synami tego kraju.

— Dziękuję wam, za tę wyróżniającą ocenę naszych skromnych wysiłków, by wyrazić uznanie Południowej Afryki dla dzielności i wytrzymałości armii i społeczeństwa polskiego.

Ten dar będzie dla nas przypomnieniem nie tylko największej wojny w his-



Król: Bolesław Chrobry



Skoczek: husarz polski z pod Wiednia

torii, lecz także tych rozmów, które miałem w Londynie z członkami narodu polskiego. «Owa wymiana myśli będzie, mam nadzieję, pomocną dla odrodzenia zniszczonej Polski na należnym jej miejscu, między narodami świata.

Tym razem audyencja jest naprawdę zakończona. Trwała pięć kwadransów, wobec preliminowanego jednego.

Szachy, zgodnie z życzeniem Smutsa, umieszczono w muzeum i uzupełniono

objaśnieniem historycznym. Na kolorowych kartonach sierż. Gładysz, przedstawił każdą figurę, dodając antyką objaśnienia. Ponadto dodano trzy mapy Polski: Jagiellonów, przedrozbiorową i z roku 1918. Całość kpr. Baranowski oprawił w skórę z wytłoczonymi herbami Polski, Litwy i Rusi, oraz herbami miast polskich — z Gdańskiem, Królewcem i Wrocławiem.

Dowcipnie wyraził się o dołączeniu

tych map wiceminister dla spraw zagranicznych Forsyth:

— Ta książka jest jak skorpion: żądło ma w ogonie.

„Polskie Szachy” doznały w społeczeństwie południowo-afrykańskim nadzwyczaj przychylnego przyjęcia. Świeża więź między armią polską i Południową Afryką, o której mówił sędziwy „Field-Marshal”, została zadzierżgnięta mocniej.

Marian Mayer

UCHODŹCY POLSCY W MEKSYKU



Kościół w Santa Rosa, głównym osiedlu uchodźców polskich w Meksyku



Ta praca jest przyjemnością



Santa Rosa ma również gazetę „Polak w Meksyku”



Fragment osiedla





MARYSIA W MEKSYKU